

VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 03/2025 (68)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Ewolucja nośnika rozumu

A ten rozum, to gdzie się mieści? Kiedyś sprawa była prosta: rozum, dusza, uczucia – wszystko to mieściło się w sercu. I nawet jeśli medycyna obaliła tę tezę, to w kulturze nadal uparcie trzymamy się tego sentymentu. Mówimy, że słuchamy głosu serca.

Potem przyszło oświecenie i skalpel. Lokalizacja została przesunięta wyżej, do mózgu. Komórki nerwowe, synapsy, impulsy. Mózg to nasza osobista „czarna skrzynka” rozumu. Rozumu nie zobaczymy, widzimy jedynie efekty jego działania: dowcip, felieton, albo zapamiętaną listę zakupów. Ale w wieku XXI, gdy serwery szumią głośniejsze niż ludzki żołądek, a w naszych kieszeniach nosimy potęgę obliczeniową (smartfon), o jakiej Galileusz mógłby tylko pomarzyć, pytanie to znowu staje się aktualne.

Czy rozum wciąż jest tylko w naszych szacownych, białkowych głowach? Życie prawdopodobnie wzięło swój start na krzemionkowych osadach. Nośnik informacji był na początku mineralny, a potem – pstryk! – ewolucja postawiła na węgiel. I zaczęła się epopeja związków węgla: białka, lipidy, RNA, DNA. Węglowe nośniki, które stały się komórkami nerwowymi. Przez setki milionów lat ten węglowy nośnik rozwijał się, aż w końcu, w naszym dużym, dumnym i samorefleksyjnym mózgu Homo sapiens, osiągnął (naszym zdaniem) swój szczyt.

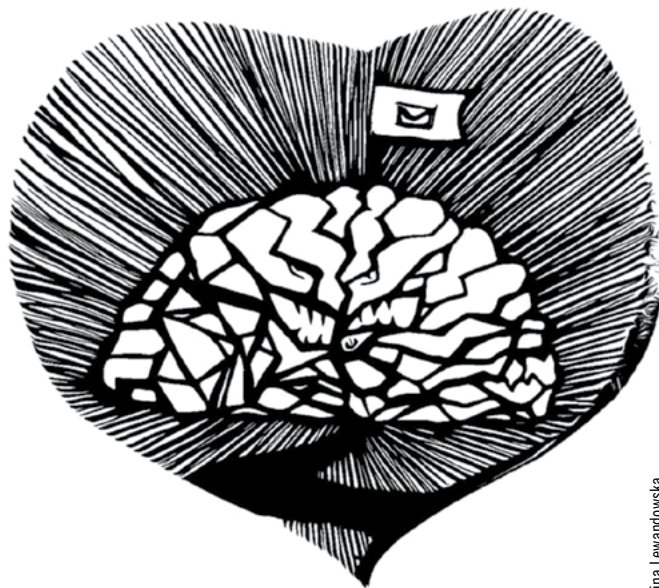
Stworzyliśmy kulturę, a wraz z nią zewnętrzne dyski pamięci. Zapisane tabliczki, a potem zadrukowany papier. Celuloza to, oczywiście, też związki węgla. Nasz rozum wylał się z mózgu i osiadł na stronach książek. Biblioteki stały się nie tyle zbiorami papieru, co zewnętrznymi mózgami ludzkości. I tu dochodzimy do paradoksu naszych czasów. Wszechobecny digitalizm sprawił, że informacja (którą w przenośni nazywamy rozumem) znowu powróciła do swojego pierwotnego, krzemowego nośnika. Płyty winylowe, taśmy magnetyczne, a potem CD i twarde dyski. Krzemowe obwody procesorów, krzemionkowa chmura serwerów. Po ponad trzech miliardach lat, od ilastych osadów po układy scalone, krzem znowu stał się nośnikiem myślenia.

W XXI wieku rozum jest zjawiskiem zbiorowym i rozproszonym. Mieści się nie tylko w naszym mózgu, ale też w telefonie komórkowym, w serwerze, który oblicza trajektorie lotu, i w programach Sztucznej Inteligencji, która opowiada nam historie

i udziela porad, gdy my sami przestajemy być pewni. Jeśli nasz rozum ma teraz siedzibę także w chmurze, to co stanie się z naszym wewnętrznym, węglowym nośnikiem?

Biologia ma prostą zasadę: narząd nieużywany zanika. Wizja jest i zabawna, i przerażająca. Oto Homo sapiens, który położył u stóp świata największe zdobycze myśli, dobrowolnie oddaje swój najcenniejszy organ w leasing cyfrowym obwodom.

Kiedyś biblioteka publiczna była bezpiecznym, węglowym nośnikiem rozumu. Dziś jest ostatnią rezydą linearnego, dogłębnego i weryfikowalnego myślenia. Pytanie brzmi: czy zdoła obronić nasz wewnętrzny rozum przed pokusą wyręczenia się AI? ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Ewolucja nośnika rozumu

04 WYWIAD

Z MARIĄ BĄKOWSKĄ rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

08 POEZJA I PROZA

70 LAT, ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH ODDZIAŁ W OLSZTYNIE

15 W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA

KRYSTYNA JANUSZ: Biogram artystyczny

16 GALERIA

KRYSTYNA JANUSZ: Migracje. Błękit Pruski

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Wodne opowieści

20 INICJATYWA

JERZY SZCZUDLIK: 70-lecie Związku Literatów Polskich na Warmii i Mazurach

22 RECENZJA

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA: Rzecz o matce i córce

24 REGION

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI: Teatr w Olsztynie — Rok 1925

25 REGION

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI: Teatr w Olsztynie — Rok 1945

27 FELIETON

MARY RUMI: Od nośnika do nieznosnika.

Bajka o potrzebie dzielenia i gąsienicy

29 INICJATYWA

KRZYSZTOF KAPINOS: CzytaMY w WBP.

Biblioteka, w której spotykają się pokolenia

30 FELIETON

MAŁGORZATA SKOWROŃSKA: Czasopiśmienniczy jubileusz

31 NA KOŃCU

IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Nevermore

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Już te przysłowia mówią, że nośnik jest rzeczą niestałą, niepewną, mogącą ulec degradacji, unicestwieniu.

Nośniki danych w dzisiejszych jakże skomputeryzowanych czasach szybko i coraz szybciej się zmieniają. To, co miało na długo przechowywać nasze informacje, prędko staje się przestarzałe i prawie nieodtwarzalne. Dlatego zabezpieczamy się i pismo „VariArt” jest dostępne i w formie drukowanej i elektronicznej. A w numerze o naszym mózgu, najlepszym nośniku, pisze Stanisław Czachorowski, o zapisach muzycznych — Mary Rumi.

Jubileusze, które obchodzone sprawiają, że coś też zostaje dla potomnych przedstawia: Włodzimierz Kowalewski — 100-lecie teatru, Małgorzata Skowrońska — czasopiśmienniczy, a literacki — Jerzy Szczudlik. Różne formy zapisu obrazu opisuje Krystyna Janusz.

Redakcja „VariArt” wierzy, że nośnik jakim jest pismo drukowane przetrwa najdłużej, a wraz z nim i wiedza o Was.

Piszemy więc i piszemy, i drukujemy i drukujemy.

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 03/2025 (68)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.olsztyn.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Krzysztof Kapinos,

Agnieszka Klisz, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołko

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Nikola Szajnóg, plakat do wystawy *Matryca*, 2025

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski, Olsztyn

Z MARSZAŁEK MARIĄ BĄKOWSKĄ, rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Kultura jako nośnik wspólnoty

Hasło najnowszego numeru „VariArt” brzmi „Nośnik”. Czym dla Pani jest nośnik kultury – czy to tylko media i instytucje, czy raczej coś głębszego: relacja między ludźmi, emocja, przekaz?

Ciekawe pytanie. Jeśli rozumiemy przez to swego rodzaju środowisko „fizyczne” (a czasem metafizyczne), w którym rozprzestrzeniają się idee, wartości, treści i zjawiska, to dla mnie najważniejsza jest pamięć. Pamięć jest nośnikiem najstarszym. Pamięć, i ta indywidualna, i ta zbiorowa, dziedziczona przez pokolenia jest przestrzenią, w której kształtuje się nasza tożsamość, wyrażana i opisywana poprzez język kultury. Kultura w ogóle w głównej mierze posługuje się znaczeniem. Ale wyraża je nie tylko poprzez pojęcie w języku, ale i poprzez symbol, kolor, dźwięk, detal architektoniczny, zwyczaj, religię, zabobon – lista jest tu bardzo długa.

W świecie przesyconym informacjami, gdzie wszystko można „przenieść” jednym kliknięciem, co sprawia, że kultura wciąż potrafi być autentycznym nośnikiem wartości?

Ależ informacja też jest częścią kultury! My w ogóle musimy najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, jak rozumiemy kulturę, czym ona dla nas jest. Ja osobiście do pewnego stopnia akceptuję rozumienie kultury jako kluczowego mechanizmu adaptacyjnego, dzięki któremu przetrwaliśmy i trwamy dalej w środowisku natury. To takie trochę neodarwinistyczne ujęcie, ale w sensowny sposób tłumaczy rolę pamięci. Tam zaś, gdzie jest pamięć, jest i znaczenie, czyli informacja. Pewnie, że możemy dyskutować o jakości tej informacji, o jej przydatności (ale znowu: według jakich kryteriów? przydatności do czego? zgodności z czym, poza prawdą?) To ważny moment, bo rozmawiamy o tym, na jaką siatkę referencyjną nakładamy to, co oceniamy. O jakie zatem wartości Pani pyta? Bo jeśli mówimy o jakimś umownym dla kultury zachodniej repozytorium

wartości ze sfery idei typu prawda, dobro, piękno, to fakt – w niektórych warstwach naszej codzienności mało mamy prawdy, mało dobra i mało piękna. Ale w innych odnaleźć je możemy w niezmiernych ilościach. Ja na przykład uwielbiam muzykę. I w niej odnajduję piękno, które daje mi metafizyczne wytchnienie od złych emocji, którymi przesycony jest świat polityki. Ktoś inny zaś może np. dotykać swojego Absolutu poprzez czynione dobro, poprzez wolontariat, poprzez ukierunkowanie swojej własnej energii ku innemu człowiekowi. I to wszystko jest kulturą, bo sprawia, że żyjemy pełniej i bardziej świadomie.

Województwo warmińsko-mazurskie ma wyjątkowo silną tożsamość kulturową. W jaki sposób samorząd może być dziś nośnikiem tej tożsamości, nie ograniczając się tylko do roli organizatora czy mecenas?

O, z tą silną tożsamością kulturową to chyba taka mała prowokacja...? Chociaż nie, niekoniecznie. Zastanówmy się, naszym wyróżnikiem i siłą jest różnorodność, mozaikowość. O ile obszary z tzw. Kongresówki ze swoją kulturową homogenicznością osadzoną w religii mają tę tożsamość widoczną na pierwszy rzut oka, o tyle trudno z czystym sumieniem mówić o jakiejś jednej, łatwo identyfikowalnej „warmińsko-mazurskości”. Chociaż na pewno cechą wspólną różnych społecznych energii, które są u nas obecne, jest dążenie do budowania tej wspólnej tożsamości przy zachowaniu specyfiki własnych kapitałów kulturowych. Niech Pani popatrzy, nasz region przypomina trochę Australię, prawda? Wszyscy jesteśmy tu „skądś”: z Wileńszczyzny, z Mazowsza, z Ukrainy, czy wreszcie po prostu od dawien dawna „stąd”. Bo nawet jeśli urodziliśmy się w jednym czy drugim pokoleniu już na Warmii i Mazurach, to przecież nasz odziedziczony kapitał kulturowy, nasz zestaw znaczeń i pojęć, którymi opisujemy świat, pochodzi najczęściej spoza tej naszej Australii. No i wychodzimy z tym naszym bagażem talentów i ograniczeń na świat i wraz z innymi kulturowymi



Fot. z archiwum Marii Bąkowskiej

migrantami próbujemy go oswajać, kształtować, ucierać wspólne znaczenia, a wreszcie ulepszać i czynić znośniejszym do życia. A więc tak, Warmia i Mazury to region bogaty kulturowo, bo nie tylko przyciąga nietuzinkowych, wewnętrznie bogatych ludzi, ale i w swych, że tak powiem, osiadłych mieszkańcach wyzwała jakąś energią tworzenia, poszukiwania i doświadczania. Jeśli więc pyta Pani, co jest największym kapitałem kulturowym, to zawsze odpowiem to samo: ludzie. Odpowiadając więc na Pani pytanie, to tym ludziom chcemy stwarzać jak najlepsze warunki do życia, rozwoju wewnętrznego, do aktywności twórczej. Rola samorządu w kulturze to wspieranie, inspirowanie, pomaganie, stwarzanie warunków. Ustawy dają nam różne możliwości, a my je wykorzystujemy najlepiej jak się da. Wspieramy organizacje pozarządowe, czy to w konkursach, czy zapraszając je do współorganizacji wydarzeń. Wspieramy artystów, choćby poprzez programy stypendialne. Wspieramy instytucje kultury. Inspirujemy, zachęcamy, motywujemy do aktywności, wskazujemy kierunki. A jednocześnie przeznaczamy duże środki na bazę materiałową, na wyposażenie i jakość funkcjonowania miejsc kultury i to nie tylko tych zależnych od samorządu województwa.

Czy instytucje kultury – teatry, biblioteki, galerie – potrafią dziś skutecznie komunikować się z odbiorcą? Jak zmienia się ich rola w czasach, gdy coraz częściej twórcy stają się własnym medium?

Zależy, o jakiej komunikacji Pani myśli. Współcześnie relacja między instytucją a odbiorcą oferty zachodzi w środowisku, że tak powiem, rynkowym. Tu mamy do czynienia z przekazem marketingowym, z budowaniem zasięgów, z promocją sprzedażową – tak więc do języka kultury wszedł gwałtownie język rynku i mocno się w nim rozpycha. Na szczęście instytucje kultury radzą sobie w tej materii całkiem nieźle. Nasze działania z zakresu komunikacji promocyjnej są skuteczne, bo świadczą o tym pełne sale i liczba sprzedanych biletów. Myślę jednak, że pewien problem zaczyna się wówczas, gdy wyjdziemy poza warstwę sprzedaży biletów i wkroczymy w obszar sprzedaży idei. Bo tu już nie jest tak różowo. O ile instytucje artystyczne to z oczywistych powodów samodzielne centra kreacji sztuki, o tyle niektóre z pozostałych miejsc bywają za bardzo reaktywne, a za mało kreatywne. Częściej reagują na bodźce, na zewnętrzne inspiracje, na wpływające oferty, rzadziej zaś kreują własną narrację. To jednak jest problem poważniejszy, bo dotyczy w ogóle zdefiniowania pewnych strategicznych, tożsamościowych dla kultury naszego regionu kierunków działania. Kim jesteśmy? Po co jesteśmy? Jakie mamy możliwości, jakie potrzeby, a jakie zadania i cele? Dokąd zmierzamy? To są fundamentalne pytania, na które 25 lat temu próbował odpowiedzieć Kongres Kultury Warmii i Mazur. I być może warto by było do tej formuły dialogu powrócić.

Jak Pani zdaniem zmienia się język, którym kultura mówi do ludzi? Czy potrzebujemy nowych nośników – podcastów, platform internetowych, projektów partycypacyjnych – by dotrzeć do młodszego odbiorcy?

Zacznę od tego, że nie kupuję tego podziału na dwa światy: na „my – kulturę” i na „oni – odbiorcy”. To tak nie działa. Czym jest dla mnie kultura, mówiłam już wcześniej. Upraszczając, kultura dzieje się w przestrzeni, która jest „pomiędzy”: pomiędzy odbiorcą a dziełem, pomiędzy znaczeniem zaszyfrowanym w nośniku a jego odszyfrowaniem w umyśle człowieka, używającym do tego swej pamięci, swego języka i swego kapitału kulturowego. Mamy więc do czynienia z ciągłym dekodowaniem znaczeń i z ciągłą ewolucją kodów szyfrujących. To jest proces, który sam się napędza i sam wyznacza sobie kierunki zmiany. Te zmiany w kulturze przypominają mi trochę zachowanie chmary ptaków, która w na pozór chaotycznym tańcu zmienia kierunek lotu i kształt całej swojej zbiorowości, ale jednak leci naprzód.

Naszą rolę, samorządu i instytucji, jest podążać za tą chmarą i czasem spróbować nadawać jej nowy kierunek. W epoce decentralizacji ośrodków to ostatnie zadanie jest coraz trudniejsze. Dziś to nie instytucje kreują trendy. To nie instytucje mają rekordowe zasięgi. Co więcej, my jako publiczne miejsca kultury często nie nadążamy za tym, co faktycznie kręci ludzi, szczególnie młodych. Dzisiejszy świat informacji i systemów ich kodowania oraz wielość kanałów, którymi ta informacja jest przekazywana – oto prawdziwe wyzwanie dla instytucji. Bo tu nie chodzi tylko o to, by teatr czy filharmonia kręciły tiktoki. Ważne jest przede wszystkim to, by teatr i filharmonia rozumiały tiktoki nakręcone przez ich potencjalnych widzów. Innymi słowy, instytucja podążająca za zmieniającym się światem nie tylko używa nowych narzędzi do komunikacji starych treści. Ona przede wszystkim dzięki nowym narzędziom uczy się nowych treści kultury, przetwarza je i przekuwa w kolejną ofertę. Po prostu, w dobie nowych nośników, dobra komunikacja instytucji kultury jest dwukierunkowa. I ta instytucja, że użyję tej niefajnej dychotomii, jest czasem twórcą, ale czasem i odbiorcą kultury.

W ostatnich latach pojawiło się wiele niezależnych inicjatyw: domy kultury prowadzone przez NGO-sy, lokalne festiwale, projekty animacyjne. Czy samorząd widzi w nich ważnych partnerów i współnośników kultury regionu?

Oczywiście, tak jak już mówiłam – podążamy za zmianą i ją współkreujemy. My nie tylko dajemy i czerpiemy, a przede wszystkim wspieramy i pomagamy. Kilka lat temu modne było słowo „sieciowanie”, ale ja osobiście wolę „partnerstwo”. I cieszę się jak dziecko, kiedy nasze instytucje kultury wchodzą w kooperatywy ze środowiskiem pozarządowym, z artystami, z animatorami spoza „systemu”. To właśnie o to chodzi. Dom kultury, teatr czy muzeum to nie jest samotna wyspa. To nie jest żadna świątynia jakiejś mitycznej „kultury wysokiej”, ale jeden z elementów całości, współtworzonej przez artystów, społeczników i animatorów. A ta całość składa się właśnie na kulturę regionu, na tę – no niech już będzie – współczesną „warmińsko-mazurskość”.

Czy istnieje dziś ryzyko, że w natłoku form i kanałów przekazu „nośnik” przysłania treść? Że bardziej skupiamy się na tym, jak mówimy, niż co chcemy powiedzieć?

Taki mamy klimat. Sama łapię się na tym, że napotykam w internetach jakieś przekazy, w których forma zastanawia mnie właśnie bardziej niż treść, bo tej treści tam nie ma. Filmik dla filmiku, mem dla memu, szydera dla samej szydery – sieć jest tego pełna. I to się niestety klika, te przekazy mają zasięgi. Ale żeby forma dla formy zdominowała kanały? Nie sądzę, wierzę, że nie. Ja jestem człowiekiem starej daty, dla mnie treść jest kluczowa, bo to jest zaszyfrowany przekaz, który świadczy o potencjalnej jakości kulturowej dzieła. Witkacy pisał co prawda o „czystej formie” jako najdoskonalszym punkcie ewolucji sztuki, która odrywa się od natury, od znaczeń, od symboli, a stawia na wywołanie jakiegoś metafizycznego kontaktu z Absolutem, ale on nadal odnosił się tu do nośników, które mają potencjał, by te metafizyczne uniesienie wywołać, a więc do muzyki czy malarstwa abstrakcyjnego. Pani pytanie jednak, jak rozumiem, dotyczy

bardziej oczywistych i współczesnych nośników. No więc, mówiąc w skrócie, nie. Nie boję się, że tiktoki zastąpią książki. Przynajmniej dopóty, dopóki mamy tak dobrą Wojewódzką Bibliotekę Publiczną

Jakie działania województwo planuje w najbliższym czasie, by wzmocnić przepływ kultury między dużymi miastami a mniejszymi miejscowościami regionu?

Dostępność do treści kultury w regionie, w którym w ogóle mamy problemy z dostępnością komunikacyjną i z obszarami wykluczenia to ważna sprawa. To jest właśnie rola samorządu, by budować mosty, które łączą – i dosłownie, i w przenośni. Dostęp ludzi z obszarów wiejskich, spoza centrów miejskich do dóbr kultury to poważny temat. Nie wszystko da się załatwić digitalizacją czy stroną internetową, bo są przeżycia i doświadczenia, których nie da się przenieść do sieci.

Dlatego stawiamy na działania, które wychodzą do ludzi, a nie czekają, aż ludzie przyjdą do instytucji. Dobrym przykładem jest Wojewódzki Program Rozwoju Czytelnictwa, realizowany przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie – to pierwsza taka inicjatywa w Polsce, powołana i finansowana przez samorząd województwa. I to jest program, który naprawdę zmienił sposób myślenia o czytaniu. Książka wyszła poza mury biblioteki i stała się częścią codzienności. W ramach akcji „Książka na receptę” dostarczyliśmy ponad trzy tysiące książek do osiemnastu placówek medycznych, gdzie trafiły do najmłodszych pacjentów. Z kolei pomysł „Tata też czyta” i zabawa terenowa „Zagraj z Tata” to już przykład, jak z czytania można zrobić rodzinne, społeczne wydarzenie. W tym właśnie rzecz – żeby kultura stawiała się częścią życia, nie obowiązkiem czy dodatkiem.

Podobnie jest z projektem „Teatr osiągalny. Teatr Jaracza dla szkół Warmii i Mazur”. Uczniowie z małych miejscowości mogą obejrzeć spektakl za symboliczną złotówkę – resztę dopłaca samorząd województwa. Do tej pory z tej

możliwości skorzystało już ponad sześć i pół tysiąca uczniów. I to nie są liczby z tabelki – to konkretne dzieci, które zobaczyły „Balladynę”, „Wesele” czy „Krzyżaków” nie w streszczeniu, lecz na scenie. I to robi różnicę.

No i wspomniane już organizacje pozarządowe, bez których nie byłoby takiego zasięgu kultury w małych miejscowościach. My je wspieramy finansowo, zapraszamy do współorganizacji wydarzeń, budujemy partnerstwa. Bo często to właśnie NGO-sy są tym pierwszym impulsem do działania, pierwszym kontaktem mieszkańców z kulturą, czy to przez lokalny festiwal, warsztaty, czy projekty animacyjne.

No i oczywiście nasze instytucje kultury – nie tylko te w Olsztynie czy Elblągu, ale też w mniejszych ośrodkach, jak Muzeum w Węgorzewie czy Skansen w Olsztynku. To miejsca, które pielęgnują dziedzictwo kulturowe regionu, ale też potrafią tworzyć nowoczesne programy edukacyjne, wciągające lokalne społeczności.

Wszystkie te działania mają wspólny mianownik – chodzi o wyrównywanie szans w dostępie do kultury. Bo kultura, tak jak ja to rozumiem, jest przestrzenią spotkania. Nieważne, czy to teatr, biblioteka, remiza, czy przychodnia. Warmia i Mazury to miejsce, gdzie kultura naprawdę jest dla wszystkich – i bardzo bym chciała, żeby tak już pozostało.

Gdyby miała Pani wskazać jedno dzieło, wydarzenie lub osobę, które dla Pani najlepiej symbolizują ideę „nośnika” – co by to było i dlaczego?

Pamięć, tak jak mówiłam. Pamięć ludzka. Pokoleniowa. Pamięć narodów. To często pamięć traum, to jakieś paskudne resentymenty, ale to stamtąd czerpiemy narzędzia do dekodowania dzieł kultury i to stamtąd czerpiemy inspirację do tworzenia tych dzieł. Pamięć buduje naszą tożsamość, bo dzięki niej wiemy, skąd przychodzimy. I nie mamy żadnego kapitału kulturowego, jeśli nie mamy pamięci, bo to ona nadaje kontekst tym wszystkim ceniom w platońskiej jaskini i to dzięki niej rozumiemy np. warstwy w serialu „1670”.

I Bogu dzięki. ■

KATARZYNA ANNA KOZIOROWSKA

ZABRAKŁO WERNIKSU

wiesz kochałam cię
mimo że gwiazdy nie znosiły
moich łez
rozumiałam przekaz samotności
ból jeszcze zbyt nieśmiały
by poddać się ciszy

akceptowałam zbyt wiele
nawet śnieg rozpuszczał się
w twoich dłoniach
namalowałam ci własny świat
zabrakło werniksu

zanosłam się śmiechem
czas pozostawał nieznany
nie zdążyłam na pociąg
zginie dziś za mnie ktoś inny

śniłam że pokochałeś
moją odległość
niestety nawrót ciszy spłoszył łzy
obojętność stała się podporą
dla nienawiści

kocham sny o samotności
nie znoszę nadziei

KATARZYNA ANNA KOZIOROWSKA – (ur. 1990 r. w Olsztynie) interesuje się literaturą oraz muzyką. Należy do ZLP Oddział w Olsztynie. Zdobyła kilka wysokich miejsc i wyróżnień w konkursach poetyckich. Jej twórczość była wielokrotnie prezentowana w tomikach i pismach literackich.

MAGDALENA CEJMAN

ROZMOWA

dźwigałam ciężar dwóch światów
łączyły je tylko niewidzialne nici
słowa szybowaty jak ptaki
i rozbijały się o pryzmy niedopowiedzeń

to, co niezmiennie w czasie
nie jest obsesją
ani obłędem
choć żyję w jego umyśle
i mimo oddalenia dotykam
strun czułych jestestwa

przechodzę mostem utkany z ciszy
gdzie każdy krok brzmi już tylko echem dawnych rozmów
odległość to też pewna forma obecności
ma swój kształt w alternatywnej wędrówce

dwa światy walczą o swoje granice
a ja wciąż próbuję zszyc zasłony powiek
z fragmentów chwil
które ocalały jak monety w piasku

czy to tęsknota, czy tylko cień
odbity w wodzie
gdy patrzę w przeszłość
nie wiem
wciąż noszę w sobie
nieskończoną rozmowę

MAGDALENA CEJMAN – absolwentka Wydziału Humanistycznego UWM w Olsztynie. Należy do Stowarzyszenia Działdowska Kuźnia Słowa. Od 2024 r. jest członkiem Stowarzyszenia Autorów Polskich i ZLP Oddział w Olsztynie. Autorka tomików poezji: *Zdania milczeniem odziane* (2012), *Liść mięty* (2015), *Na granicy spadających liści* (2016) i *Nasiona ciszy* (2024).

ANNA BARBARA CZURAJ-STRUZIK

ALICJA PRZYGLĄDA SIĘ LUDZIOM

Alicja przypuszcza że nie wszystko na świecie
zależy od rządów
i władców

jak diabła całym złem świata
najłatwiej obarczyć cesarza

Alicja jednak dostrzega pewien detal
w każdym z nas
tyka bomba
jakość jej wybuchu finansuje
czas

poza tym diabeł zawsze tkwi
w szczegółach
a biesy
żerują na spleśzczonych ideach
takich które tworzą pseudobohaterów
albo hipokrytów

Alicja domyśla się że ludzie
nie pragną wolnej woli
choć szczyć się nią jak jesiennym
wschodem słońca nie pytają
na jakiej częstotliwości nadaje odpowiedzialność
interesuje ich tylko
barwny efekt domina
i sztafaż

ANNA BARBARA CZURAJ-STRUZIK – urodzona w Milanówku, mieszka w Działdowie. Ukończyła filologię polską na UMK w Toruniu oraz filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Jest członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Olsztynie oraz Stowarzyszenia Autorów Polskich. Należy do Działdowskiej Kuźni Słowa. Wydała siedem zbiorów poezji. Jej wiersze znalazły się w 60 almanachach o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowym. Laureatka licznych konkursów poetyckich.

ten to dopiero zrobił karierę
i nie pytał
jakie drzewa upadły
pod toporem jego oczekiwania

ALICJA OKREŚLA WŁADCÓW

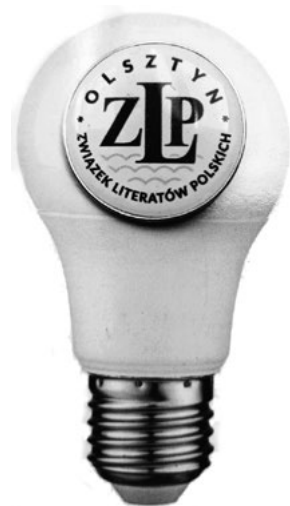
Alicja sądzi że prawdziwy przywódca
nie potrzebuje spektaklu
sama jego obecność
ujarzmi chaos
zupełnie jak cicha modlitwa
co choć odpustu nie daje
jest znakiem czasu subtelnym
drogowskazem

jej słowo nigdy
nie stanie się hałasem
lecz sprawi że piękną
taflę fałszywych luster
w drobny mak
jak miraż

bo czasem aby zmienić świat
trzeba pokazać prawdziwe oblicze
takie bez pudru
dyplomacji
drwin
niczym rozpalone
w kościach ziemi znicze

Alicja uważa że charyzma władcy
jest jak naga róża kwitnąca
pośród bratków
absolutnie piękna
dostojna
i lotna
gotowa strzaskać berło
choć zawsze samotna

Wiersze pochodzą z książki *Alicja w Krainie Nie-czarów*.



ANDRZEJ CIEŚLAK

DO JANA Z ŁAJSA – ZASADŹCY OLSZTYNA

Janek. Nie chrap. Nie wypada w niebie.
 Obudź się choć na chwilę, bo mówi do Ciebie:
 samowolniczy książę i Warmiak zza Buga.
 Niewdzięczników oskarża, Twej pamięci sługa.

Bo następcy po wiekach, spojeni chyba wódką,
 Twoim imieniem nazwali uliczkę tak krótką,
 że ledwo konserwator zabytków o Tobie pamięta.
 I to nie zawsze, być może od święta.

A przecież puste pole w życie przemieniłeś,
 więc na centralną ulicę w pełni zasłużyłeś.
 Wiele godziłeś sporów, boś chłop nie był głupi,
 szlachectwo dla Ciebie poparli nawet biskupi.

Mógłbym o twoich zasługach mówić jeszcze długo...

Lecz dziś zdradź tylko w moje ucho:
 w jakim odpoczywasz grobie,
 bo chcę Cię odwiedzić niedługo,
 pożartujemy sobie.

No, oczywiście nie na sucho.

Dziś apeluję do IV RP ja i fanów Twoich niewielu
 o pamięć wieczną i Najwyższy Order dla Ciebie...

Budowniczego PRL-u.

WŁADYSŁAW KATARZYŃSKI

WIOSENNY REJS

Panie Wańkowicz, tak czy siak
 Czy pana znają, czy nie znają
 Ja ruszam na mazurski szlak
 Nim zjadą tu turyści zgrają

Bo, drogi panie, jestem stąd
 Związany tak jak z Rabką góral
 Nie fascynuje mnie James Bond
 Tylko włóczęga na Mazurach!

Chociaż minęło tyle lat
 Wśród jeszcze wszechobecnej ciszy
 Odnajdę Smętka stary ślad
 Panie Wańkowicz, czy mnie słyszysz?

Naprzeciw słońca, vis a vis
 Chcę trochę się opalić bowiem
 I pograżony w metafizyce
 Rejs zacznę gdzieś w Spychowie

Zaliczę dwieście, trzysta wiorst
 W domu nad wodą (jadło, picie)
 Gości mnie Mazur, imię Horst
 Dziad był za Polską w plebiscycie

Zielony kamyk tkwi na dnie
 Kajak się na Krutyni buja
 Rzekł pan, że cukier krzepi, mnie
 Zefirek wiosny na Mazurach

ANDRZEJ Z. BRZozowski

JEDNAK INACZEJ BYŁO WCZORAJ

Jednak inaczej było wczoraj.
Inaczej bywa niż uczono.
Pewnie inaczej będzie jutro,
Choć wielu spraw nie dopełniono.

Nie z każdej mąki chleb wypieką.
Nie każde wino pić będziemy.
Nie wszystkie sprawy nas dotyczą,
Lub mówić o nich nie umiemy.

Kiedy znów trzeba będzie śmiać się,
Nową treść damy starym słowom,
Nie będzie spraw niezłatwionych,
Ludzie nareszcie będą sobą.

Żebak gotówkę da bogaczom,
Mąż będzie kochał tylko żonę,
Na deficycie pozostaną
Nasze życzenia niespełnione.

Gdy już zmienimy świat na inny,
Może ten lepszy wymarzony,
Gdy już stagnacja nam obrzydnie,
Znów zanucimy cicho w domu:

Jednak inaczej było wczoraj.
Inaczej bywa niż uczono.
Pewnie inaczej będzie jutro,
Bo wielu spraw nie dopełniono.

JERZY SZCZUDLIK

LIMERYKI WARMIŃSKIE (fragment)

Sklepowa z wioseczki Nagłady
Dawała przez lata spod lady,
Dziś na zeszyt daje,
Więc się nam wydaje,
Że mąż znajdzie jej zdrady ślady.

Do gajowego ze wsi Naterki
Co noc wzywano z Olsztyna „erki”,
W dzień w lesie rżnięcia normę
Wyrabiał, w nocy formę
Tę tracił i serca miał usterki.

Zawiadowcy stacji w Biesalu
Brakowało trochę Wersalu,
Kupił więc wersalkę,
By na niej Westfalkę
Całować po słodkim nosalu.

Dziewice ze Starych Jabłonek
Pozbyć się chciały zbędnych błonek.
Lecz pustka w ich karnecie,
Bo chłopcy w internecie,
Nie pragną wcale młodych łonek.

Wszyscy młodzieńcy ze wsi Gągtawki
Po miłość biegli do grubej Sławki,
Aż tylu było gości,
Że jej ojciec z litości
Dla czekających wystawiał ławki.

Jeden gospodarz ze wsi Zezuty
Z moralności był całkiem wyzuty,
Babskiej wróg anatomii
Oddawał się sodomii,
Z fauny wykluczył tylko mamuty.



KRYSTYNA WASILKOWSKA-FRELICHOWSKA

O SĄDZIE NAD ZOFIĄ CZAROWNICĄ ZWANĄ, SZEPTANKI

(...)

Zwalił się na ławę i tylko gestem nakazał wywlec kobietę. Dombroś oblekł nagie i bezwładne ciało Zofii w przygotowaną płócienną koszulę. Przez okno zawołał dwóch najbliższych stojących gapiów i wraz z pomocnikami wynieśli skazaną na śmierć „czarownicę”. W białej koszuli wyglądała jak anioł niesiony na ramionach tragarzy, który za chwilę wzleci. Umocowali ją linkami do przygotowanego słupa i obłożyli najpierw chrustem, suchymi gałęziami, kłodami drewna. Ktoś podpalił chrust, wszyscy patrzyli na płomienie, bo nie mieli odwagi spojrzeć w jej twarz z niewidzącymi już oczami. Płomienie były coraz wyższe, aż w końcu skryły postać truchła Zofii. Okropny smród palonego ciała nie odstraszał gapiów. A dusza Pędziszki była już ponad rynkiem, ostatni raz patrzyła na kramy, ratusz. Spojrzała na farę i zastanowiła się, o czym myśli teraz klecha Andrzej Sokołowski, któremu zanosila całe naręcza kwiecia do ustrojenia otłarzy i zioła na wzdęcia. Czy widziała ten stos sławetna żona burmistrza Kowalskiego, którą wyleczyła ziołami z bólu w prawym w boku? A córka ławnika strycharza, której zbierała młody krwawnik na straszliwe bóle brzucha, albo sąsiadka Klima, której niańczyła Jakubka, gdy ta leżała w połogu? Ostatni raz spojrzała w dół i zobaczyła prawie wszystkich swoich, bliższych i dalszych... sąsiadów – zastanowiła się, kto z nich miał dla niej tyle nie-nawiści, złości, zawziętości. Może to braciszki od franciszkanów z apteki chcieli zlikwidować konkurencję? A może to sam burmistrz Kowalski rzucił to oskarżenie... niezadowolony, że nie wyleczyła jego krowy?

Dusza Zofii unosiła się coraz szybciej, widok Nieszawy zacierał się, aż zniknął. Czuli się lekka jak obłok, niebiańsko szczęśliwa. Dostrzegła tablicę – Niebo. ■



70 LAT, ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH ODDZIAŁ W OLSZTYNIE

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ

ULUBIONY MUR

W latach 70. ubiegłego wieku, jak to strasznie brzmi, ubiegłego wieku, w Olsztynie na murach więzienia stojącego w środku miasta, w czasie 1 maja, ktoś dowcipny, albo nawet rozgarnięty wywiesił hasło BYLIŚMY, JESTEŚMY, BĘDZIEMY. Pochód przechodził obok tego więzienia, tych murów i tego hasła, i rozbawieni i co bardziej odważni obywatele robili sobie zdjęcia na tle tej pięknej metafory.

W tym samym mniej więcej czasie, na murach domu stojącego naprzeciwko Teatru im. Stefana Jaracza powstał pierwszy socjalistyczny mural, na którym stał towarzysz Lenin, trzymając w dłoniach ster okrętu o nazwie SOCJALIZM, a nad nim wielki napis LENIN TWÓRCĄ ŚWIATOWEJ REWOLUCJI. A pod tym murałem stał kubik teatru reklamujący premierę najnowszej sztuki pod tytułem TATO, TATO, SPRAWA SIĘ RYPŁA. I też było sporo radości w najbliższej okolicy.

Dlaczego o tym piszę? 3.09.2021 roku jechałem tą samą ulicą obok więzienia, ponieważ udawałem się po odbiór nagrody imienia Henryka Panasa, przyznanej mi przez moich wybitnych kolegów pisarzy i dziennikarzy. I spojrzałem na ten mur budzący we mnie – co tu dużo kryć – sentymentalne wspomnienia. I muszę powiedzieć, że nie zawiódł mnie i tym razem. Na kilkunastu metrach tego obiektu stojącego w centrum miasta wisiał baner z następującym hasłem PROMUJEMY NAJLEPSZCH. I wtedy pomyślałem: Wiem, dlaczego tu jestem. ■



Fot. Paulina Gadomska

JERZY SZCZUDLIK

Maia w Krainie Mowy (fragmenty)

KUPIĆ KOTA W WORKU

Maia miała dziesięć złotych,
Co jej podarował dziadek,
A że uwielbiała koty,
Miejsce miał więc ten przypadek.

Doczekała Maia wtorku,
Wtedy zwykle są jarmarki
I kupiła kota w worku,
Nie sprawdzając jakiej marki.

W domu w worku kota szuka,
A tam kota ani cienia,
Tylko guzik, stąd nauka:
Nic nie kupuj bez sprawdzenia.

NABIĆ KOGOŚ W BUTELKĘ

Maia zamoczyła nogi,
Roniąc cicho też kropelkę,
Bo przez babcię dziadek drogi
Został nabity w butelkę.

Jak uwolnić dziadka teraz?
Czy wydtubać go grzebieniem?
Korkociągami go wyszperać?
Czy butelkę zbić kamieniem?

Maia roni tży ukradkiem
I zmartwiona chodzi wielce,
Jak tu szaleć teraz z dziadkiem
Kiedy siedzi on w butelce?

Takie są pułapki mowy,
Już spokojna Maia mała,
Dziadek cały jest i zdrowy,
Babcia tylko go nabrała.

Jaka z tego jest nauka?
Maia nieraz się przekona,
Mowa lubi nas oszukać,
Zrobić w konia lub w balona.

MIEĆ WĘŻA W KIESZENI

Pewna pani miała męża,
Nic wielkiego, sweter, krawat,
Lecz on miał w kieszeni węża,
Czyli niecodzienna sprawa.

Maia palcem loczki zwiija,
Na bok poszły lalki, szkoła,
Bo ten wąż to może żmija,
Albo wręcz dusiciel boa?

Przecież mogła być to kobra,
Pyton lub wąż Eskulapa,
Maia musi sposób obrać
Węża męża tego złapać.

Mowa znaczeń moc zawiera:
Kto w kieszeni nosi gady,
To inaczej zwie się sknera
Lub oszczędny do przesady.

70 LAT, ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH ODDZIAŁ W OLSZTYNIE

JERZY SZCZUDLIK – poeta, prozaik, dramaturg, autor tekstów piosenek. Wydał dwa tomy opowiadań i powieści: *Toskańska zagadka* (2015), *Upadek króla* (2020), zbiór *Dramaty późnego wieku* (2023) oraz kilka tomików wierszy. Autor ponad dwudziestu sztuk teatralnych, prezentowanych w formule teatru stolikowego. Jest stałym felietonistą „Gazety Gietrzwałdzkiej”. Ważną rolę w pracy literackiej Szczudlika odgrywa twórczość dla dzieci. W 2015 roku Stowarzyszenie „Dom Warmiński” przyznało mu tytuł „Honorowy Przyjaciel Warmii”.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

BIOGRAM ARTYSTYCZNY – KRYSZYNA JANUSZ

Z podwórka mojego rodzinnego domu roztaczał się widok na Wzgórza Dylewskie i dolinę Drwęcy – do pewnego wieku myślałam, że za nimi kończy się wszystko, co znam i zapewne mówią tam innym językiem. Odkrywam region, w szczególności artystycznie. Staram się zadawać pytania, na które nie sposób odpowiedzieć prostymi „tak” lub „nie”, albo „to jest białe, a to czarne”. W ostatnich latach twórczo wykorzystuję odcienie błękitu pruskiego – przypadkowo poznana technika cyjanotypii pozwoliła mi rozszerzyć fotografię w onirycznym kierunku.

Wystawa „Migracje. Błękit Pruski” jest kolejną odsłoną opowieści na temat byłych Prus Wschodnich. Stronniczo, przez pryzmat doświadczeń życiowych zwykłych ludzi, które dla mnie, żyjącej 80 lat po wymianie ludności na naszych terenach, są wielkimi historiami o sile przetrwania. Praca nad najnowszym cyklem przyjęła formę dziennikarskich poszukiwań – w rodzinnych albumach i z pamięci potomków utkałam wizualne opowieści o moich osobistych bohaterach. Dotarłam do nieznanych szerszemu gronu osób. Tych, których wygnano – ale wrócili. Tych, którzy uciekli. Tych, których kraje przestały istnieć, więc zaczęli budować nowe gdzie indziej, nawet na spalonej ziemi. Jeszcze wiele z tych opowieści leży uśpione na krawędzi zapomnienia w rodzinnych archiwach. Życie toczy się swoim tempem, zdrowym jest patrzeć do przodu. Coś ciągle jednak każe mi oglądać się za siebie – urodziłam się z wielką, wielką tęsknotą, nie wiem tylko za kim lub za czym tęsknię. Czuję, że znajdę odpowiedź właśnie tu, na Warmii i Mazurach.

Cyjanotypia to fotograficzna technika alternatywna wykorzystująca światłoczułość soli żelaza, w przeciwieństwie do klasycznej fotografii, która oparta jest o sole srebra. Ze względu na odmienny skład chemiczny, proces naświetlania wykorzystujący promieniowanie UV, kolor odbitek przyjmuje odcienie błękitu pruskiego – sama nazwa inspiruje. Możliwości emulsji światłoczułej są szerokie – można nią pokryć papier, tkaninę, drewno, skórę, a nawet ceramikę. Pozwala to wyjść fotografii z płaskiej formy i ram, nabrać szerszego oddziaływania w przestrzeni. Odkrycie barwnika błękitu pruskiego, początkowo nazywanego berlińskim, zawdzięczamy Johannowi Kondradowi Dippelowi – XVIII-wiecznemu niemieckiemu alchemikowi, który omyłkowo uzyskał żelazicyjanek potasu (najprawdopodobniej Dippel był pierwowzorem doktora Frankenstein). Barwnik oparty na żelazicyjanku potasu później wykorzystany został do stworzenia cyjanotypii. Nazwa „pruski” związana jest z wykorzystaniem go w celu farbowania mundurów pruskiej armii. Zastąpił on szalenie drogie indygo. Jest tak samo trwały, jak i niezwykle wrażliwy – przetrwa setki lat, lecz można go zniszczyć kontaktem z mydłem lub pochodnymi fosforanów. ■

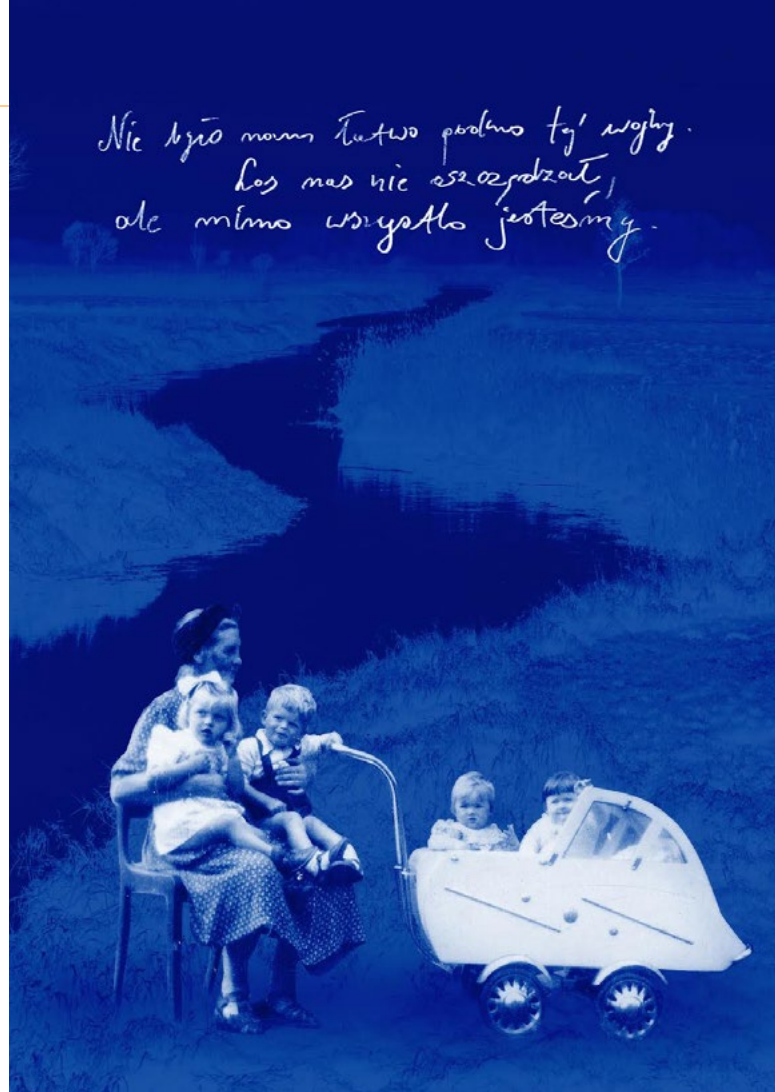
KRYSZYNA JANUSZ (ur. 1988 r.) – artystka wizualna i fotografka pochodząca z Warmii i Mazur. Absolwentka Wydziału Sztuki UWM w Olsztynie.

Fot. Paulina Gadomska



KRYSTYNA JANUSZ

Migracje. Błękit Pruski



Alwina z wnuczętami, kolaż cyfrowy, cyjanotypia, 2025

Prasnetka k. Iławy – znajdująca się na zdjęciu pani Alwina z wnuczętami jest matką mojej sąsiadki, pani Ingeborgi. Spisane przez panią Inge trudne wspomnienia z ucieczki z Prus Wschodnich oraz z powrotu do domu kończą się słowami „Mimo wszystko jesteśmy”.

W tle Drwęca na wysokości Gromot, która stanowiła granicę między Polską a Prusami.

Zdjęcie powojenne. Archiwum rodzinne państwa Iwaników

Wzorowa, kolaż cyfrowy, cyjanotypia, 2025

Benio z Mamą, kolaż cyfrowy, cyjanotypia, 2025

Ufgeblick.

Wiß mich an dich, Kind mein Lieb und
worb mich in freier Heimat fand!

Wenig für dich in einem Haus,
Wenig von dem Kind und die Jugend ist,
und die Welt ist es für mich,
und die Welt ist die Welt von

Und die Welt ist die Welt
und die Welt ist die Welt!
Und die Welt ist die Welt
und die Welt ist die Welt!

Und die Welt ist die Welt
und die Welt ist die Welt
und die Welt ist die Welt
und die Welt ist die Welt!

Es will mich sein
mein Lieb und
so lieb ist es
und die Welt

Ich will mich sein
so lieb ist es
und die Welt



ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Wodne opowieści

Kraina Tysiąca Jezior i mokradeł też ma swoje wodne opowieści...

SMOK Z ORNETY. NAD ŻUŁAWAMI ZALEGŁA CISZA

Światło bursztynowego serca wciąż drgało pod ziemią, a mieszkańcy Truso szeptali legendy przy ogniu. Ale Fjorglimr, smok starej krwi i srebrzystych łusek, musiał odejść. Nie z niechęci, lecz z głębokiego przecucia, że jego obecność powinna teraz ogrzać inne miejsce. Jego sen prowadziły ptaki lecące na południowy wschód, ku łagodnym wzgórzom, gdzie ziemia oddychała inaczej. Tam, gdzie kończyły się Żuławy, a zaczynała Warmia.

Dotarł do Ornety, miasta o czuwających wieżach, ceglanych murach i dzwonach, które rozbrzmiewały nie tylko dźwiękiem, ale pamięcią. Smok przysiadł pośród drzew, skrył się w cieniu kościoła św. Jana i patrzył. Miasto miało serce bijące rytmem spokojnym, pełnym cierpliwości. Mówiono, że tu ludzie umieją słuchać, nie pytając od razu, kim jesteś, lecz raczej — po co przychodzisz.

Fjorglimr nie przyszedł z żarem ognia ani z pokazem siły. Ułożył się wśród cieni muru obronnego i czekał.

Najpierw zauważyły go dzieci. Zamiast uciekać, przyniosły mu garść jabłek i garść pytań. Potem przyszli starcy... choć raczej po prostu nie odeszli, gdy tylko go ujrzeli. Jeden z nich wyjął flet i zagrał melodię sprzed wieków. Smok zamknął oczy. W tej pieśni były dawne rzeki, gwiazdy zasypujące się ziemią i głosy przodków.

Mieszkańcy Ornety, choć nie bogaci, podzielili się ze srebrnym gadem miejscem, ofiarowując mu wieżę z zegarem, który od dawna nie miał wskazówek. „Jeśli nie wiemy, która godzina — (rzekła jedna z kobiet) — to niech chociaż wiemy, że ktoś czuwa”. Smok wszedł po schodach zbudowanych ze światła i kurzu, i uczynił z wieży swój nowy dom. Nocami, gdy wiatr niósł nad domami zapach książek i czereśni, słyszał było czasem jego oddech — długie, miękkie niskie dźwięki, budzące przedziwne wspomnienia. W deszczu, który spływał po dachówkach, niektórzy słyszeli rytm smoczego serca. Nie bursztynowego, które zostało w Truso, ale nowego, z gliny, trawy i czasu.

Pewnej nocy, gdy zawiął wiatr od Fromborka i księżyc był wielki jak lśniąca misa, smok z Ornety po raz ostatni spojrzął na miasto. Zostawił ślad łapy w miękkim gruncie przy wieży i odleciał ku nieodległym jeziorom. Bez huku, bez światła. Tylko czarny kot z ulicy Tartacznej obudził się i zamiauczał, bo poczuł, że coś się nagle kończy — i jednak coś się zaczyna.

Od tamtej pory w Ornecie niektórzy mówią, że czas płynie inaczej, odkąd smok spał w zegarowej wieży. Inni zaś wierzą, że jego oddech nadal unosi się nad dachami, sprawiając, że sny są tu spokojniejsze niż gdziekolwiek indziej. Zegar zaś długo obywat się bez wskazówek, bo ludzie wierzyli, że może Fjorglimr wróci.

Anna Rau



Fot. Jakub Łubocki

CHOCHLIK ZNAD JEZIORA

Wody w tej legendzie będzie mało, chociaż i Unieszewo leży nad jeziorem, a i w Olsztynie nie brakuje zbiorników wodnych.

Otóż drukarnię przenoszono z Olsztyna do Unieszewa, a potem chciano znów do Olsztyna. Chochlik drukarski takich przenosin nie lubił. Postukująca rytmicznie prasa wyznaczała rytm dnia chochlika, ale w Unieszewie coś się zmieniło. Owszem, coś się drukowało, ale regularności to już w tym nie było żadnej. Za to wpadała rusalka wodna z jeziora Wulpińskiego i bałamuciła chochlika, który – bezrobotny – dał się jej zwodzić. Gdy usłyszał o kolejnych przenosinach, żal mu się zrobiło panienki i robił wszystko, by zostać w Unieszewie. Rozsypywał czcionki, chował okulary i drewniane litery po pudełkach, a śrubokręt to nawet wrzucił do jeziora. Ale nie było rady – przenosiny się dokonały. Nowe miejsce pachniało świeżością. „No to pewnie będzie się działo” – pomyślał chochlik. Wizytówki, ulotki, plakaty, drobne akcydensy. Ile będzie roboty, z tym przekręcaniem literek, chociaż taka radość z psocenia, jak już nie ma kontaktu z rudą rusalką. Ale nie, tu cisza. Owszem, drukarz zaglądał do pomieszczenia, nakręcał zegarek i sprawdzał maszyny, ale raczej pro forma. Na ścianie powiesił napis: „Maszyny i urządzenia są eksponatami muzealnymi”. O nie, co się stało! Któregoś dnia podsłuchał, że to wszystko to zmiana nośnika, już nie metalowe czcionki, a coś, co siedzi w małym pudełku i przesyłane jest po kabelku, albo i nie, stało się domem jego ukochanych literek.

Chochlik siadł, zaczął myśleć i pochlipywać co nieco, aż się rozpuścił we łzach. Kto zajął jego miejsce?

Iwona Bolińska-Walendzik

JERZY SZCZUDLIK

70-lecie Związku Literatów Polskich na Warmii i Mazurach

Oddział Związku Literatów Polskich powołano z inicjatywy Władysława Gębika podczas Literackich Dni Olsztyna 14-15 lipca 1955 roku. Powstanie oddziału było ukoronowaniem działalności Klubu Literackiego prowadzonego w Olsztynie przez Gębika, a także miejscowych twórców wcześniej przyjętych do Związku: Marii Zientary-Malewskiej, Michała Lengowskiego, Alojzego Śliwy i Teofila Ruczyńskiego. Na zebraniu założycielskim wybrano pierwszy Zarząd w składzie: Michał Lengowski (prezes), Władysław Gębik (wiceprezes), Janusz Teodor Dybowski (sekretarz), Teofil Ruczyński (skarbnik). W kolejnych latach Prezesami ZLP w naszym regionie byli:

Michał Lengowski (1955-1957)

Władysław Gębik (1958-1971)

Leonard Turkowski (1972-1980)

Bohdan Dzitko (1980-1983)

Zbigniew Nienacki (1984-1986)

Jerzy Adam Sokołowski (1987-1990)

Stefan Połom (1990-1996)

Józef Jacek Rojek (1996-2015)

Andrzej Cieślak (2019-)

Olsztyńskie środowisko literackie – powoli dojrzewające po wojnie i zmianie granic – po powołaniu oddziału, posiadające też własny periodyk społeczno-kulturalny i wydawnictwo, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych starało się inicjować wydarzenia społeczno-kulturalne, które miałyby wymiar ogólnopolski. Do takich należały obchody setnej rocznicy urodzin Michała Kajki (1958) – przekształcone w Rok Warmii i Mazur, Zjazd Pisarzy Przyjaciół Warmii i Mazur (1960), olsztyński VIII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych (1965).

Należy pamiętać, że był to szczególny okres historyczny, utrwalający pojałtański ład, a funkcjonowanie ludzi pióra w realiach PRL nie należało do godnych pozazdroszczenia. Literatura polska w tych czasach nie była bytem autonomicznym, wpływy pozatekstowe (ideologiczne i światopoglądowe) były jej istotnym elementem. Na straży pożądanej linii ideologicznej stał wielopiętrowy system kontroli z Głównym Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk na czele oraz jego

wojewódzkimi oddziałami. Charakter inspirujący i przewencyjny miała również działalność różnorodnych instytucji, od wydawnictw i redakcji poczynawszy. Sam związek, mający w pamięci przedwojenny, inicjacyjny wkład Stefana Żeromskiego (1920), pozbawiony został w 1949 roku określenia „zawodowy”. Na IV szczecińskim Zjeździe zmienił nie tylko nazwę, lecz także funkcję: stał się instytucją nie tyle zawodową, ile ideologiczną, kontrolującą życie pisarza (w sensie warsztatowym i prywatnym). W 1955 roku wśród siedmiu członków założycieli oddziału ZLP czworo legitymowało się statusem „tutejszości” (Michał Lengowski, Maria Zientara-Malewska, Teofil Ruczyński, Alojzy Śliwa). Dwoje związanych było zawodowo z regionem w okresie międzywojnia (Emilia Sukertowa-Biedrawina, Władysław Gębik), a jedynie jeden z członków był powojennym migrantem (Janusz Teodor Dybowski). Z czasem te proporcje ulegały zmianie na korzyść przybyszów. Na początku swej działalności Oddział ZLP był jako jedyny w skali kraju pozbawiony własnej siedziby (spotkania odbywały się w mieszkaniu Władysława Gębika). Wielu pisarzy było bardziej działaczami kulturalno-społecznymi niż twórcami, co z pewnością wpłynęło na fakt, że żadnej pozycji powstałej w środowisku nie udało się wyjść poza określenie literatury regionalnej. To się zaczęło zmieniać po okresie skutecznej promocji kultury i literatury regionu Warmii i Mazur. Najbardziej spektakularnym efektem tych starań była zmiana wizerunku regionu, który nareszcie przestał się kojarzyć li tylko z nobliwymi twórcami o proweniencji ludowej.

Październik 1956 roku osłabił opresyjno-ideologiczny charakter Związku. Wraz z odwilżą rozpoczął się nieodwracalny proces utraty kontroli partii nad środowiskiem literackim, jednak jeszcze wiele lat kształt ideowy olsztyńskiego środowiska i literatury tu powstającej można określić słowami Leonarda Turkowskiego: „Nasza praca literacka jest pracą partyjną i społeczną”.

W dekadzie lat sześćdziesiątych nastąpiła polaryzacja środowiska literackiego, powołano Klub Literatury Regionalnej, promujący wzory piśmiennictwa ludowego, powstały grupy młodoliterackie, kontestujące propozycje prezesa Władysława Gębika oraz zainicjowano siedmioletnią działalność Klubu Literackiego przy

Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Socjalistycznej, wydającego periodyk „Przemiany”. Podział środowiska literackiego przebiegał na różnych frontach, m.in. ideologicznym i generacyjnym. Co ciekawe, frustracje i niezadowolenie z organizacji życia literackiego w środowisku wyrażały zarówno kręgi „młodych”, jak i „starych”. Warunki egzystencjalne ludzi pióra oraz możliwości realizacji potencjału literackiego oceniano bowiem jako dalekie od zadowalających. Polityka kulturalna nakierowana była raczej na upowszechnianie kultury, świetlice, muzea, kluby, radio, prasę, telewizję. Polityka wydawnicza, kłopoty finansowe i brak papieru również nie sprzyjały promocji literatury.

Olsztyński Oddział ZLP w obecnym kształcie istnieje od 2019 roku, kiedy to po kilku latach uśpienia wznowiono jego działalność, w przekonaniu, że dzieła poprzedników nie wolno zaprzepaścić. Przyznano wówczas Stefanowi Połomowi tytuł Honorowego Prezesa. Wybrano również Zarząd w następującym składzie: Andrzej Cieślak – prezes, Władysław Katarzyński – wiceprezes, Paweł Jaszcuk – członek Zarządu, Jerzy Górczyński – rewizor oraz sędzia Sądu Koleżeńskiego.

Oddział ZLP w dalszym ciągu nie posiada własnej siedziby. Literaci spotykają się gościnnie w kawiarni „U Artystów” na olsztyńskiej starówce. Na jej ścianie kilka lat temu zawisła tablica upamiętniająca 100 lat działalności Związku w Polsce oraz 65-lecie ZLP na Warmii i Mazurach. Wspólnym staraniem Związku oraz olsztyńskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP pamiątkową tablicę umieszczono również na domu, w którym mieszkał pisarz Henryk Panas. Oba oddziały współorganizują corocznie uroczystość przyznawania nagrody jego imienia.

Związek Literatów Polskich nie jest jedyną organizacją skupiającą regionalnych pisarzy. Wynika to z pewnych zaszczości historycznych. Po wydarzeniach marcowych 1968 roku, a szczególnie w latach 1980-1981 we władzach związku pozycję dominującą zdobyli tzw. dysydenci. Dlatego po wprowadzeniu stanu wojennego działalność ZLP zawieszono, a w lipcu 1983 roku związek został rozwiązany. Pod koniec 1983 roku jednak reaktywowano go pod tą samą nazwą. Wielu pisarzy nie uznało jednak tej organizacji i pozostawało przez lata poza związkiem. W 1989 roku

utworzyli oni Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Po jakimś czasie doszło do porozumienia pomiędzy obiema organizacjami literackimi, ale faktem pozostaje trwający rozłam w środowisku pisarzy, również w Olsztynie. ZLP stara się ściśle współpracować z innymi organizacjami skupiającymi ludzi pióra. Przykładowo nawiązano współpracę z Klubem Miłośników Poezji przy Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, Grupą Literacką „Barcja” z Bartoszcza, „Salonikiem Literackim” w Mrągowie, ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszeniem Dziennikarzy RP oraz innymi środowiskami twórczymi.

„Żywe kultury literatury” – to wspólny projekt UWM oraz olsztyńskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Jego pomysłodawczynią jest dr n. med. Kamila Regin z Wydziału Lekarskiego UWM. Zainteresowanie studentów projektem przeszło najśmielsze oczekiwania. Ich prace trafiają do olsztyńskich szpitali. W 2023 wydano monografię zatytułowaną „Kulturotwórcza i terapeutyczna rola literatury”. Organizatorzy zapewniają, że przedsięwzięcie będzie kontynuowane.

Średnia wieku członków związków i stowarzyszeń ludzi piszących niepokojąco wzrasta, dlatego za jedno z najważniejszych swoich zadań olsztyński Oddział ZLP uznał aktywizację Koła Młodych. Regionalni literaci to ludzie, którzy zajmują się literaturą z zamiłowania. Są wśród nich przedstawiciele różnych zawodów. Piszą wiersze, opowiadania, bajki, powieści i dramaty. Wydają je własnym sumptem, bądź korzystają ze wsparcia finansowego samorządów lub sponsorów. Ich rozpoznawalność zależy od talentu, determinacji, a niekiedy przypadku. Zrzeszając się w związki twórcze pomagają sobie wzajemnie, wspólnie też promują kulturę, organizując różnorakie imprezy i zdarzenia, przyciągające szersze grona odbiorców do kultury bardziej wysublimowanej. Niezwykle bowiem ważnym zadaniem ludzi pióra w dobie Internetu, pogoni za nowoczesnością i schlebianiu marnym gustom pozostaje krzewienie tych wartości, które wpływają pozytywnie na jednostki oraz całe społeczeństwa.

Nasz regionalny Oddział obchodzi 70-lecie istnienia. Nie będę życzył tradycyjnych 100 lat, bo tyle właśnie ma Związek ogólnopolski, a to pozwala przewidywać, że przed nami cała literacka wieczność. ■

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

Cykl: Co warto czytać? Czyli słów kilka o książkach z Warmii i Mazur

Rzecz o matce i córce

Wczoraj byłaś zła na zielono to książka, która otrzymała w 2025 roku laur „Wawrzyn Warmii i Mazur” – literacką nagrodę regionu. Wygrała w rywalizacji z innymi publikacjami, których autorki i autorzy bądź pochodzili z Warmii i Mazur, bądź ich książki były z tym obszarem związane. Jednakże choć w powieści Kąckiej miejscem akcji jest Lidzbark Warmiński, a sama autorka w nim się urodziła, dla fabuły powieści topograficzne czy kulturowe szczegóły nie mają istotnego znaczenia. Lidzbark uosabia po prostu każde mniejsze miasteczko, z ograniczonym terytorium, z jednej strony oswojone, a z drugiej tak dobrze znane, że aż nudne. Naznaczone brakiem anonimowości, niemożliwością ukrycia się ze swoją innością, wystawiające na obmowę i konieczność przyjęcia – chociaż formalnie – sąsiedzkich rytuałów itp.

Narratorka powieści to osoba o niezwyklej wrażliwości, neurotyczna, rozważająca każdy szczegół egzystencji z niezwykłą precyzją. Choć wydaje się, że główną bohaterką utworu jest jej córka, orientujemy się wkrótce, że to jednak jej matka jest najważniejsza. Dziewczynka wnosi do jej życia doświadczenia, które na zawsze ją zmieniają. Ze względu na swój autyzm, dziecko pozostaje dla niej bytem nieodgadnionym, zmiennym, nieoswojonym, wymykającym się jakiegokolwiek przewidywalności, a tym samym nawet zdawkowej kontroli. Rozwija się bardzo indywidualnie, neuroróżnorodnie, w sposób wiadomy tylko sobie, w każdej chwili mogąc zmienić bieg zdarzeń. Jawi się jako osoba nieuchwytna tożsamościowo, więc tajemnicza i atrakcyjna osobowościowo, ale też z drugiej jej indywidualność narażona jest na samotność, niezrozumienie, może nawet śmieszność, a na pewno wrogość otoczenia.

Tematem książki jest więc macierzyństwo inne niż to obserwowane z boku, bo doświadczane bezpośrednio. Przybývające z zaskoczenia, nieprzygotowane, odbierające prawo do siebie, do przedkładania swoich potrzeb nad uzurpację dziecka. Macierzyństwo na sto procent, nastawione wszystkimi porami ciała na

osiągnięcie dobrostanu dziecka. Żadna matka nie jest na nie przygotowana, choć stereotypowo przypisuje się kobietom tzw. intuicję bycia matką. To nieprawda, nic bardziej mylnego. I przekonuje się o tym także narratorka, choć jej przypadek różni ją od innych, zaskakującym niedopasowaniem do reszty świata.

A narratorka jest perfekcjonistką, planującą przyszłość swoją i dziecka na odległe lata, widzącą świat w szerokiej perspektywie, zadającą ciągle pytania, nie poddającą się łatwo, jeśli cokolwiek nie wychodzi. Chce dotrzeć do świadomości dziecka, która nie zawsze jest jej dostępna. Próbuje różnych dróg dojścia: przez ingerencję, obserwację, w końcu czuwanie i poddawanie się jego woli. To okazuje się najlepsze i przynoszące najlepsze rezultaty.

Tak mniej więcej rysuje się fabuła tego utworu, który stawia też przeszkody genologiczne: z jakim gatunkiem mamy do czynienia? Czy jest to esej czy powieść? Skłaniałabym się ku tej drugiej kwalifikacji, w której pojawia się narratorka. Pochodzi z Warmii, studiuje polonistykę, najpierw w Warszawie, po urodzeniu dziecka w Toruniu. Gdy kończy studia – zaczyna pracę nad doktoratem, przenosi się znów do Warszawy. Jest czytelniczką, pozostaje w żywym kontakcie z tekstami kultury. Te cechy prowadzą nas do autorki, Elizy Kąckiej, która ma za sobą podobną drogę. Jednakże nie jest to jej autobiografia, a raczej powieść autobiograficzna, inspirowana własną codziennością.

W polskiej literaturze najnowszej można mówić już o pewnego rodzaju nurcie pisarstwa autobiograficznego, związanego z różnymi doświadczeniami macierzyństwa. Zapoczątkowała go Anna Nasiłowska (m.in. *Domino. Traktat o narodzinach* – 1995, *Księga początku* – 2002, *Czteroletnia filozofka* – 2004), potem dołączyły Manuela Gretkowska (*Polka* – 2001, *Europejka* – 2004, *Obywatelka* – 2008), Sylwia Chutnik (*Mama ma zawsze rację* – 2012) czy Agnieszka Graff (*Matka Feministka* – 2014). Znany jest także, oparty na wcześniej prowadzonym blogu – w latach 2002–2009, zapis Małgorzaty Łukowiak pt. *Projekt matka. Niepowieść*

z 2013 roku, który w bliski formie reportażu sposób, pokazuje macierzyństwo dzień za dniem.

Obok tego kreacji macierzyństwa nie zabrakło w ostatnich latach w literaturze pięknej. Ten temat eksponują: Julia Bargielska (*Obsoletki* – 2010), Sylwia Chutnik (*Dzidzia* – 2010), Katarzyna Ostrowska-Biernacka (*Supermama* – 2012) czy Natalia Fierdorczyk (*Jak pokochać centra handlowe* – 2016).

Łączy te wszystkie publikacje, fikcyjne i niefikcyjne, nieodparta chęć wypowiedzenia się o doświadczeniu bycia matką, w sytuacji kompletnego nieprzygotowania na tę formę egzystencji. Badaczka tematu, Agnieszka Gawron, tłumacząc źródła tego rodzaju pisarstwa konkludowała:

Autorki wspomnień, wprost lub poprzez wypowiedzi metatekstowe, wyraźnie wskazują na emocjonalne źródła swoich autobiografii: gniew, zmęczenie, poczucie izolacji, frustrację i pogłębiające status quo kulturowe ograniczenia. Te negatywne katalizatory [...] przekładają się jednak na niepohamowaną potrzebę pisania, dążenie do ekspresji przełomowych doświadczeń, poprzez które następuje powolne odzyskiwanie „siebie”. Z jednej strony, jest to dążenie czysto indywidualistyczne o charakterze terapeutycznym, które – jak pisał o autobiografii Duccio Demetrio – ma wyrwać człowieka z egzystencjalnej traumy. [...] Z drugiej jednak, terapeutyczna funkcja pisania jest integralną częścią szerszego procesu budowania podmiotowej tożsamości, procesu dokonującego się poprzez dostrzeżenie i integrowanie zachodzących w podmiocie zmian¹.

W sytuacji kryzysowej, gdy dziewczynka na pół roku odmawia kontaktu ze światem zewnętrznym, narratorka pozostając w desperacji, tłumaczy swój stan:

Ból matki, mówi się. Co boli najmocniej? Czas. Czekanie. Utrata. Lęk o dziecko i bunt, że zostało się oszukany. Że trudno uratować tego drugiego. I trudno uratować siebie przed połknięciem. Boisz się, że utonie wszystko (s. 153)

Źródłem powstania powieści Elizy Kąckiej jest zapewne to samo terapeutyczne dążenie do opowiedzenia w uporządkowany – fabularny – sposób osobistego doświadczenia. Czy stało się ono dla autorki traumą – być może, jeśli rozumieć traumę jako głęboki uraz psychiczny, który powstaje w wyniku ekstremalnie stresującego przeżycia, jakim była dla narratorki troska o córkę i jej dobrostan.

Opowieść Kąckiej wyróżnia spośród innych, o podobnym temacie, konstrukcja powieściowego świata, którego każdy element jest rozedrany i niejednorodny, podporządkowany emocjom przeżywającym przez matkę. Kącka przygląda się rzeczywistości analitycznie. Jej postrzeganie jest procesem, polegającym na interpretowaniu najdrobniejszych szczegółów związanych z zachowaniem swojego dziecka. Potwierdzeniem wyjątkowości tej powieści jest Nagroda Nike 2025. *Wczoraj byłaś zła na zielono* Elizy Kąckiej znalazła się wśród dwudziestu książek zasługujących na wyróżnienie z następującym uzasadnieniem dziennikarki Agaty Okońskiej:

Język autystki, podchwycony przez Kącką, nie boi się powtórzeń, jest pozbawiony pojęciowej żonglerki, każde słowo obciąża precyzyjnym znaczeniem, waży wyrazy i zwroty. Odsłania w ten sposób nowy świat, w którym słowa są konkretnymi rzeczami. Rzeczami, do których się przywiązujemy i za którymi potrafimy się ukryć. To utwór mogący zmienić nasze postrzeganie rzeczywistości. Przynajmniej się do tego narratorka, dostrzegając jak wiele nauczyła ją własna córka: Jej sposób myślenia dał mi dowód istnienia innego świata. Niejednorodnego, żywego, nicującego nasze kategorie (s. 218). Brzmi jak zaproszenie do uważnej lektury. ■

Eliza Kącka, *Wczoraj byłaś zła na zielono*, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2024, ss.286.

¹ A. Gawron, *Macierzyństwo. Współczesna literatura, kultura, etyka*, Łódź 2016, s. 188.

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

Teatr w Olsztynie – Rok 1925

Elektryczne lampy zapalono także na schodach, prowadzących prosto z ulicy ku pięciorgu drzwiom teatru. Architekt zbudował te schody stromo i wysoko jako symbol wznoszenia się od przyziemnego, nieciekawego życia prowincji do wielkości sztuki. Były również szerokie – dla podkreślenia otwartości i zachęty dla wszystkich.

Wieczorem, we wtorek 29 września 1925 roku wspinali się po nich dostojnym krokiem zaproszeni goście – elita miasta, wysiadająca z wypucowanych „na błysk” zaprzęgów i nielicznych samochodów, także galowo wystrojona gromadka z tramwaju, który ze zgrzytem zatrzymał się naprzeciw. Tłum gęstniał w foyer, spowity dymem cygar i wonnych papierosów „simon arzt” w długich cygarniczkach. Błyskała biżuteria, monokle w oku, dewizki zegarków na kamizelkach opinających wydatne brzuchy. Przeważały wyciągnięte z szaf na wielką okazję staroświeckie toalety, odkurzone fraki, żakiety i cylindry, z rzadka tylko przemknęły między nimi budzące zgorszenie modne paryskie kreacje i kapelusze typu *cloche* do krótkich fryzur. Większość znała się doskonale. Wymieniano uprzejmości, podziwiano rozmach pachnącego jeszcze świeżym tynkiem nowego gmachu teatru. Kilku zażywnych *geschäftsleute* pokpiwało ukradkiem z władz, które trzy miesiące wcześniej, w piątą rocznicę zwycięskiego dla Niemców plebiscytu, z wielką pompą świętowały otwarcie nieukończonego jeszcze budynku, aby dopiero teraz urządzić w nim równie uroczystą inaugurację sezonu teatralnego i uświetnić ją wystawieniem „Fausta”. Jednak uwagę wszystkich przyciągał otoczony gronem adoratorów Max Worgitzki, pisarz, publicysta, prezes *Kulturverein Masuren-Ermland*. To on kierował kampanią propagandową plebiscytu z lipca 1920 roku, jemu przypisywano zwycięstwo, dlatego z dumą mógł spoglądać na umieszczony wysoko, nad pilastrami potężnej fasady teatru, gotycki napis *Der Treudank* – wotum wdzięczności narodu za ocalenie południowej części Prus Wschodnich dla „niemieckiej ojczyzny”. Nowy budynek powstał również wskutek jego zabiegów i był zwieńczeniem tego dzieła. Służyć miał nie tylko sztuce scenicznej, ale przede wszystkim – jako placówka o nazwie *Treudank-Gaststätte* – podnoszeniu poziomu niemieckiej

kultury i przeciwstawianiu się wpływowi polskiemu w południowych, pogranicznych rejonach Prowincji Pruskiej.

Przez zebrany w foyer tłum przebiegł szmer poruszenia. Ukłonami witano prezydenta rejencji olsztyńskiej von Ruperta i nadburmistrza Zülcha. Wkrótce po raz pierwszy zabrzmiały teatralne dzwonki, powoli zaczęto zapełniać widownię. Wszystkich interesowała nie tylko bogata, jak plotkowano, inscenizacja klasycznego dramatu. Zastanawiali się również półzartem, jak wypadnie grający główną rolę zaprzedanego diabłu doktora Fausta nowo mianowany dyrektor Ernst Theiling.

Aby doprowadzić do tej faustowskiej „pięknej chwili, która trwa”, trzeba było kilku lat machinacji urzędniczych. Pod naciskiem Worgitzkiego i jego otoczenia olsztyński Teatr Miejski (*Stadttheater*) latem 1920 r. przekształcono w Teatr Niemiecki (*Deutsches Theater Allenstein*) o określonym już profilu politycznym, a tenże z kolei od roku 1922 oficjalnie został Teatrem Krajowym Południowych Prus Wschodnich (*Landestheater Südostpreussen*), z misją wystawiania spektakli także w mniejszych miejscowościach regionu. Na koniec odebrano koncesję teatralną właścicielowi hotelu *Deutsches Haus*, gdzie mieściła się duża sala widowiskowa i przedtem wystawiano spektakle.

Poważna, popierana przez władze instytucja wymagała okazałej siedziby. Zaprojektował ją miejscowy architekt August Feddersen, późniejszy twórca m.in. kościoła o.o.franciszkanów na Zatorzu, w typowej dla siebie manierze modernistycznej, zapatrzonej jednak w style renesansu i neoklasycyzmu. Czasy się zmieniły, mimo wyraźnie określonej politycznej roli budynku nikt już nie chciał czerwonej cegły ani dawnego, „narodowego” pruskiego neogotyku. Budowa, choć opóźniona z powodu hiperinflacji, trwała zaledwie 11 miesięcy. W tym czasie powstał nowoczesny, funkcjonalny gmach z widownią na 556 miejsc, kanałem dla orkiestry, garderobami, salami prób, zapleczem socjalnym, technicznym wyposażeniem sceny i restauracją. Całość sfinansowały państwowe dotacje z Berlina oraz subwencje miejskie. ■

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

Teatr w Olsztynie – Rok 1945



Fot. Karolina Jóźwiak – *Krzyżacy*, 2025

Wiosną 1945 roku olsztyński teatr nie był jeszcze Teatrem im. Stefana Jaracza. Był pustym, zdewastowanym gmachem ze śladami skutego napisu *Der Treudank*, bez szyb i bez drzwi, ocalałym wśród ruin przy zawalonej gruzem ulicy bez nazwy. Osadnicy przybywający z Mazowsza i przesiedleńcy z Kresów, widząc kikuty domów i wypalone mury, wierzyli pewnie, że toczyły się tu ciężkie frontowe walki, chociaż sowieccy żołnierze zajęli miasto bez większego oporu, a potem przez kilka miesięcy systematycznie burzyli je i wznecali pożary w odwecie na Niemcach oraz w *blagorodnoj jarosti* („szlachetnej wściekłości”).

Pierwsze polskie słowa padły z dużej sceny do niedawna jeszcze *Landestheater Südostpreussen* w samo południe 23 maja, mimo że w intencji fundatorów sprzed dwudziestu lat język polski miał nigdy nie zabrzmieć w teatrze podarowanym przez „niemiecką ojczyznę” za wierność, okazaną podczas plebiscytu. Tego dnia, przy wypełnionej po brzegi, naprędcie wysprzątej i oczyszczonej sali, odbyła się uroczystość przekazania władzy przez sowieckiego komendanta miasta Pełnomocnikowi Rządu RP na Okręg Mazurski płk. Jakubowi Prawinowi. Pierwszy występ musiał być bardzo skromny. Po oficjalnych przemówieniach przygotowani przez Wandę Pieniężną nieznani już dzisiaj amatorzy zaprezentowali montaż polskich piosenek i skeczy. Wcale nie podniostych i żałobnych w tonie, mimo tkwiącej głęboko w ludziach wojennej traumy. *Nie smucono się. Nieubłagane prawo życia wzięło górę* – pisał o tamtych czasach felietonista „Wiadomości Mazurskich”, pierwszej gazety wydawanej w Olsztynie po wojnie. Latem, podczas obchodów rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem, Teatr Powszechny z Warszawy gościnnie wystawił w podobnie prymitywnych i improwizowanych warunkach „Burmistrza Stylmondu”, realistyczny dramat Maurycego Maeterlincka, napisany podczas pierwszej wojny, jak określił sam Autor: *ku wielkiemu gniewowi germanofilów*. Na olsztyńskiej scenie debiutował wówczas w nim Janusz Strachocki, później, w sezonie 1947/48 dyrektor naszego teatru.

Niedzielną wieczór 18 listopada 1945 roku był wietrzny i chłodny, prószył śnieg, zapowiadając gwałtowny atak zimy, który wkrótce na kilkanaście dni sparaliżuje miasto i odetnie je od świata. Nie paliły się uliczne latarnie, ruiny i sterty gruzu tonęły w ciemnościach, wytaniały się z nich gromadki ludzi, pnące się po stromych stopniach ku wejściu do foyer. Widownia wypełniona do ostatniego miejsca. Pierwszy, prawdziwie profesjonalny zespół olsztyńskiego Teatru im. Stefana Jaracza, o imieniu przyjętym jeszcze nieformalnie pod wrażeniem niedawnej śmierci wielkiego aktora, dawał pierwszą prawdziwą premierę – *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej.

O utworzenie w Olsztynie zawodowego teatru władze miasta i regionu zabiegały od samego początku, mimo prób przeznaczenia budynku dawnego *Treudanku* na lokalny dom kultury. Potrzebna była do tego decyzja odgórna, i wreszcie Ministerstwo Kultury i Sztuki taką wydało, wyznaczając na pierwszego dyrektora Stanisława Wolickiego, aktora, przedwojennego posła na Sejm, działacza socjalistycznego. Wolicki ruszył w objazd po kraju i kompletował zespół. Obiecywał pracę w nowoczesnym, wygodnym budynku, służbowe mieszkania w adaptowanych na ten cel trzech willach, regularnie wypłacane gaże. Dodawał także argument patriotyczny – misję szerzenia polskiej kultury na Ziemiach Odzyskanych. Jesienią 1945 roku zaczęli zatem z różnych stron zjeżdżać do Olsztyna aktorzy średniego pokolenia i młodszy, najczęściej rozbitek wojenny, występujący kiedyś w teatrach Wilna i Lwowa, potem rzućeni do różnych miast. Najliczniejsza ekipa przybyła 30 października z Torunia, choć przeważnie byli to przesiedleni artyści i pracownicy sławnego wileńskiego teatru „Na Pohulance”. Pierwsze wrażenie po wyjściu z pociągu krótko kwituje Eugenia Śnieżko-Szafragłowa: *ciemno, zimno, brudno!* Ale to ona jako jedyna aktorka z tej grupy została w Olsztynie na stałe, do końca życia. Słowa późniejszej gwiazdy olsztyńskiej sceny można odnieść również do gmachu teatru. Co z tego, że z zewnątrz prezentował się okazałe, kiedy w podziemiach stała cuchnąca woda, zniszczone były instalacje, rozgrabione albo zdemolowane całe wyposażenie, łącznie z kurtyną. Praca zespołu aktorskiego rozpoczęła się zatem od wynoszenia błota, szorowania ścian i posadzek, potem odbudowania sceny na głównej widowni. Nie spełniły się też obietnice dyrektora Wolickiego, zapewne wprowadzonego w błąd przez ministerialnych biurokratów – nie było trzech willi ani mieszkań, tylko pokoje hotelowe po jednym na dwie rodziny, bez światła i ogrzewania, gaże wypłacano drobnymi ratami. W zrujnowanym mieście nie jeździły tramwaje, nie działały wodociągi ani kanalizacja, nie było gazu, prąd włączano sporadycznie i nie wszędzie. ■



W 2025 roku Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie obchodzi podwójny jubileusz: sto lat istnienia teatru, założonego w dawnym Allenstein w 1925 roku, oraz osiemdziesiąt lat działalności sceny polskiej w mieście. Z tej okazji przygotowano wyjątkowe wydarzenia. We wrześniu na Dużej Scenie odbyła się premiera „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza w reżyserii Jana Klaty. O spektaklu chętnie informowały media ogólnopolskie, a przedstawienie zebrało mnóstwo pozytywnych recenzji. Jubileusz stał się też okazją do wydania książki *Cały świat to ściema* ze zbiorem tekstów literackich nawiązujących do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, zamówionych u autorek i autorów, których twórczość spletała się z Teatrem, Olsztynem, Warmią i Mazurami.

W książce znalazły się opowiadania Włodzimierza Kowalewskiego, Joanny Bator, Zygmunta Miłoszewskiego, esej Eszbel Szatrawskiej, a także reportaż Joanny Kiewisz-Wojciechowskiej. Zbiór zamyka opowiadanie Magdaleny Laszczki „Oswojenie”, które zwyciężyło w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Książka jest też dostępna w wersji elektronicznej – można ją bezpłatnie pobrać ze strony Teatru. W tej wersji czytelniczki i czytelnicy dodatkowo znajdą sześć innych tekstów nagrodzonych i wyróżnionych w Konkursie Literackim SZPRAJSA oraz scenariusz Szymona Jachimka „Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny”, który miał premierę na przełomie 2024 i 2025 roku. Ten spektakl również został przygotowany z myślą o jubileuszu i pozostaje w repertuarze Teatru.

MARY RUMI

Od nośnika do nieznośnika Bajka o potrzebie dzielenia i gąsienicy

Dawno, dawno temu, gdy legendy i bohaterowie istnieli tylko tyle czasu co pamiętać o nich, marzyliśmy o lepszym niż ustny sposobie utrwalania, przekazywania i wydłużania tego „życia po życiu”. Ale nie tylko na wydłużaniu nam zależało, ponieważ pragnęliśmy przecież również dzielić się pięknem. Największy problem zawsze mieliśmy z przechowaniem ulotności, takich jak dźwięk. Malunki, pismo, słowo – udało się w miarę sprawnie. Dawne pergaminy, podobnie jak dzisiejszy papier z drukarek, przyjmą wszystko. Bardzo szybko zorientowaliśmy się więc, że nośniki słów są jak plotki i portrety – można je modelować wedle własnego widzi-misie. Więc na kolanie przepisujemy na nowo historię, używamy filtrów na zdjęciach, stroimy cyfrowo ludzki śpiew w piosenkach, aby był lepszy niż faktycznie. Wszystko ma być lepsze niż faktycznie. Trwalsze niż nasze istnienie. Bardziej, mocniej, więcej, szybciej, dalej, głębiej, dłużej. Kaprysimy z tymi tematami jak dzieciak. I tak, znalazła się ludzkość, jakiś czas temu, w miejscu w którym zapragnęliśmy połączyć, czy też stworzyć na nowo, ludzką wiedzę. Troszkę może poprawić co nieco po drodze. Zapragnęliśmy idealnego przepływu, para-telepatii, wspólnego procesora i pamięci, jednej wielkiej encyklopedii i mega wielkiego wspólnego muzeum kultury – z ogólną, natychmiastową dostępnością. Dzielenie się na poziomie mistrzowskim. Zapragnęliśmy nośnika idealnego.

Samo słowo „nośnik” – czyli taki niewielki stworek o szerokim, zarośniętym gęsto nosie, w czapce i z fajką, jest dla mnie dość osobliwym i jednak już teraz muzycznym określeniem. Zwłaszcza, że na prawo i lewo powtarzano: „projekt ustawy podatku od czystych nośników”. Czyste nośniki. Czyli np. niezapisane płyty kompaktowe, kasety, i inne utrwalniki, zapisniki, przekazniki, przenośniki. Takie, żeby każdy mógł sam zdecydować co na nich będzie: pierwsze odgłosy wiosny, transmisja meczu, ulubiona kapela z koncertu w radiu, może wyznanie miłosne. Kiedy jeszcze byłam mała, w największym natarciu były kasety magnetofonowe. Można było kupić je wszędzie, pełne muzyki, większe i mniejsze, również całkiem puste – chociaż na te początkowo nie zwracaliśmy uwagi. Kaseata miała zapach i kryła obietnicę. Dla mnie tą obietnicą był wielki świat, zachód, festiwale. Zapach taśmy i magnetofonu. Technologia. Przyszłość. I powrót do niej z latającymi

pojazdami. Artyści z drugiego końca globu wydawali nową muzykę i ja posiadając ich kasetę miałam wrażenie jakby osobiście odłożyli ją u mnie na półce w sypialni. W naszym domu w salonie widniały szeregi sztywno stojących winyli, a w szafkach kryły się taśmy szpulowe ze studiów nagraniowych. Efekt wtedy nowoczesnych rozwiązań o nazwach z kosmosu, pionierskich, technicznych, czy azjatyckich. Dla nas, młodszych, były to relikty zamierzchłych i minionych czasów. Wszystkie one były niedoskonałe, a tak nie wolno rzeczy zostawiać. Taśmy ulegały roztopieniom i utlenieniom, winyle łatwo doznawały obrażeń i można je było złamać, lub literalnie „zajechać” żłobiąc igłą bez opamiętania i na wylot. Wszystkie te kochane kapele zajmowały kupę miejsca na ścianach, blatach, podłogach. Pamiętam, że na tamtym etapie elementem, który nie skupiał mojej uwagi, był czas. Czas, który można było utrwalić na winylu, czy kasecie. Nie pomyślałabym wtedy, że był za krótki, że chcemy spędzać więcej tego konkretnego czasu, z samodzielnie grającym zespołem, nie przewidując zmęczenia, zmiany ani ciszy. Początkowe kwadransy urosły do półówek i całych godzin, ale to było wciąż za mało. Ja nie wiedziałam, że to mało, ale nikt się mną nie przejmował i ani się obejrzałam, a świat wypłynął kompakt, czyli CD. Z dzisiejszej perspektywy początek końca poszukiwań nośnika idealnego. Rzeczki wpadły do mórz, morza połączyły się w oceany.

Cyfra wypalana laserem. Kosmos. Do siedemdziesięciu minut na małym krążku lub 800MB pojemności danych, w tym skompresowanych plików muzycznych. Takich wrzuconych samodzielnie z peceta, w domu. Czyli można było zgrać z kaset ukochane dźwięki, wrzucić, przekonwertować, skompresować i wypalić na osobistej płycie, której sami nadajemy tytuł.

Tak samo jak kiedyś na kasetach – tylko dużo prościej, szybciej, więcej, lepiej. Na jednym nośniku-nieznośniku upchnięta była cała piracka dyskografia ulubionego bandu w fatalnej jakości mp3 – ale to tak jakby nosić nieoryginalne ciuchy, czyli normalna-oszczędność, zakupy na stadionie, a nie kradzież. I zdjęcia z wakacji można dorzucić, może film, który u nas nie miał jeszcze premiery, w słabej rozdzielczości i bez napisów, czy lektora, albo po włosku. Internet się

rozhułał, każdy konstruował własną tódeczkę do pływania po cyfrowych wodach, nie trzeba już było łączyć się modemem telefonicznym, same telefony stacjonarne zniknęły, a ich mali kuzyni komórkowi stali się komputerkami w naszych dłoniach. Aby łatwiej docierać, szybciej być na mecie, móc też utrwalać, przekazywać, udostępniać, moderować, kopiować i jeszcze bardziej oszczędzać. I szybciej niż wymówienie słowa „kompatybilne”, zrobiliśmy dziki cyfrowy szaber na stare skarby. I jak to z szabrem bywa, zniknęło niemal wszystko co cenne i co sprawia wrażenie cennego, a teraz już nie wiadomo co czym jest, bo w brudnej wodzie wszystko wygląda podobnie. Co się da zużywamy, a resztę umiejętnie przywalamy toną śmieci i złą segregacją danych. W tym przypadku również nasze zaufanie wypadło z okrętu i utonęło i nagle nie wiemy czego pragniemy od oceanu i naszej przyszłości. Ale to historia na zupełnie inną okazję. Teraz już czas na puentę o gąsienicy.

Gdy w końcu, z ograniczonego kompaktu wpłynęliśmy na bezmiar oceanu przenośnych pamięci masowych pendrive, a potem wszystkie oceany się połączyły w jeden i stworzyły pełen sztormów internet, data cloud i streaming, na świat przyszedł nowe oceaniczne stwory: gigantyczne serwerownie-gąsienice, które zgodnie z porządkiem gatunkowym, będąc w rozwoju, pochłaniają powoli całą planetę. Miasta głodnych, głośnych i rozgrzanych serwerów-gąsienic, żyjących jak najdalej od naszych okrętów, przykryły niemrawe dźwięki kochanych kapel, wszystko zagłuszono białym szumem wiatraków chłodzących.

Kompedium wspólnej wiedzy, cywilizacji i kultury — nasz okręt rejsowy człowieczeństwa okazał się jak Titanic, lub właśnie znów popularny Heweliusz (nie-samowita produkcja). Nic w tej maszynie nie działa i każdy coś sam dokleja co chce: reklamę, hakerkę, porno, wirtualną walutę czy teorie spiskowe opisane w wypracowaniach wygenerowanych przez chat gpt. W tym wszystkim nawet skala ego kilku najbogatszych jest największa w dziejach, bo wszechoceaniczna. I chociaż faktycznie, naszym światem rządzi HIPER MEGA WIELKIE ego kilkulatka, który zamiast spać w nocy, rzuca drogimi zabawkami o ścianę, rozmnaża wciąż gąsienice i wszędzie w jego pokoju wiszą kokony itd., to szczęśliwie tuż poza pokładem, poza granicami tego wszechoceanu nikt się tym nie przejmuje. Poza pokojem dziecięcym przecież nie słychać szumów gąsienic-serwerów, ani zniszczeń, ani krzyków.

Czyli: za drzwiami tego pokoju dziecięcego udającego wszechoccean, poza naszą planetą jest dalej noc i cisza i wiadomo, że to głupawka przed snem i zaraz jak się ten nieznosiłnik wyszaleje to zaśnie i będzie spokój. ■



Kruk – tłum. W. Kozaczuk, druk typograficzny, Iwona Bolińska-Walendzik, 2025

KRZYSZTOF KAPINOS

CzytaMY w WBP. Biblioteka, w której spotykają się pokolenia

W ostatnich miesiącach Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie zamieniła się w prawdziwe centrum literackiej wymiany myśli. Projekt „CzytaMY w WBP”, obejmujący 21 różnorodnych inicjatyw, pokazał, że biblioteka nie jest już tylko miejscem wypożyczania książek, lecz przede wszystkim przestrzenią spotkań – twórczych, edukacyjnych i integrujących. I choć program właśnie dobiegł końca, jego energia nadal unosi się w bibliotecznych wnętrzach.

Pomysł był prosty, ale ambitny: otworzyć bibliotekę na wszystkie pokolenia, stworzyć miejsce, które łączy czytelników w różnym wieku i o różnych potrzebach. W efekcie powstał cykl wydarzeń, który zadziałał jak literacki magnes – przyciągał dzieci, rodziców, seniorów, młodzież zafascynowaną popkulturą, a także osoby ze szczególnymi potrzebami. To w ich rozmowach, pracach, pomysłach i wzajemnej inspiracji najpełniej wybrzmiała idea projektu.

Jednym z najbardziej rozchwytywanych punktów programu okazały się warsztaty „Literackie konstrukcje”. Wyobraźcie sobie grupę kilkulatków pochłoniętą analizą... Baby Jagi. Dzieci poznawały jej różne literackie odsłony, po czym tworzyły własne wizje chatki na kurzej łapce. Było dużo śmiechu, szczypta grozy, jeszcze więcej kreatywności. I ta charakterystyczna cisza przerywana tylko szelestem papieru – znak, że właśnie pracuje dziecięca wyobraźnia. Takie momenty przypominają, że literatura to nie tylko tekst, ale także impuls do działania.

Zadaliśmy również o tych, którzy na co dzień rzadko mają chwilę dla siebie. „Mamokręgi”, czyli spotkania dla mam małych dzieci, prowadzone przez terapeutki ze Stowarzyszenia FOrREST, stworzyły atmosferę swobodnej rozmowy i wymiany doświadczeń. Biblioterapia, literatura dla najmłodszych, a także zwyczajna, szczerza rozmowa o macierzyństwie sprawiły, że biblioteka stała się miejscem oddechu. Czasem właśnie tego najbardziej brakuje młodym rodzicom. Rodzinny aspekt projektu pięknie wybrzmiał również podczas spotkania „Książka w rodzinie”, prowadzonego przez Aleksandrę Ruszkowską z Wydawnictwa Mamania. Rozmowy o rytuałach czytelniczych pokazały, że wspólne czytanie to nie tylko edukacja, ale przede wszystkim budowanie bliskości. W świecie, w którym ciągle brakuje czasu, książka potrafi stać się najcenniejszym rytuałem dnia.

Bibliotekarze również nie wyszli z CzytaMy z pustymi rękami. Warsztaty poświęcone japońskiej literaturze i kulturze współczesnej przyniosły całe zaplecze pomysłów na pracę z młodzieżą: od klubów mangi po spotkania poświęcone japońskiej estetyce.

Zainteresowanie Japonią wśród młodych czytelników nie słabnie, a biblioteka, świadoma tego trendu, zyskała nowe narzędzia do budowania atrakcyjnej oferty. Trudno byłoby wymienić wszystkie emocje, jakie towarzyszyły spotkaniom autorskim. Jedno jest pewne – każde z nich miało swój własny charakter.

Ewa Woydytło przyciągnęła publiczność refleksyjnym, ciepłym spotkaniem o psychologii, wolności i zmianie. Wydarzenie tłumaczone było na polski język migowy, co doskonale wpisywało się w ideę dostępności projektu. Paweł Beręsewicz z kolei rozkochał w sobie młodych czytelników. Miniaturowe filiżanki, „picie” kawy na niby i rozmowy o ulubionych gatunkach literackich sprawiły, że spotkanie przypominało zabawę w literacką herbatkę. Dzieci słuchały jak zaczarowane – a to najlepszy dowód na to, że literatura dla najmłodszych ma ogromną moc. Jul Łyskawa, jeden z najgłośniejszych debiutantów ostatnich lat, udowodnił, że świeże głosy w literaturze potrafią wzbudzać żywe emocje i pobudzać do dyskusji.

Projekt „CzytaMY w WBP” objął również wydarzenia przypominające o literackich rocznicach. Podczas rozmowy poświęconej K.I. Gałczyńskiemu słuchacze zanurzyli się w świat poezji – interpretacje Hanny Banasiak i rozmowa z Wojciechem Kassem oraz prof. Jarosławem Ławskim stworzyły kameralny, refleksyjny wieczór.

Młodszy czytelnicy w ramach Wakacyjnego Klubu Książki odbyli podróż do Szkocji, pełną legend, zamków i potworów. Kolaże twierdz powstałe podczas zajęć mogłyby śmiało trafić na wystawę – a każdy uczestnik wyszedł z własnym egzemplarzem książki.

Osobne miejsce zajęło Narodowe Czytanie – choć pogoda pokrzyżowała plany, atmosfera w Starym Ratuszu była wyjątkowa. Kochanowski zabrzmiął podniosło i z humorem, a slam poetycki w jego duchu był dowodem na to, że klasyka nie musi być poważna.

Z perspektywy widać wyraźnie, że „CzytaMY w WBP” stało się czymś więcej niż cyklem wydarzeń. To opowieść o bibliotece jako miejscu otwartym, gościnnym i elastycznym. Miejsu, w którym każdy – niezależnie od wieku czy doświadczeń – może znaleźć coś dla siebie. Najważniejsze jednak jest to, że uczestnicy wracają. Z dziećmi za rękę, z książkami pod pachą, ze świeżymi pomysłami. A to najlepszy dowód, że biblioteka żyje. Że jest przestrzenią, w której naprawdę czytamy – razem. ■

Projekt „CzytaMY w WBP” dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

MAŁGORZATA SKOWROŃSKA

Czasopiśmienniczy jubileusz

W 2025 roku mija 70 lat od powstania olsztyńskiego czasopisma społeczno-kulturalnego „Warmia i Mazury”, które ukazywało się w latach 1955-1990. Początkowo pismo nosiło tytuł „Mazury i Warmia” i stanowiło dodatek do „Głosu Olsztyńskiego”. Ukazywało się ze zmienną częstotliwością – jako miesięcznik i dwutygodnik. We wstępie do pierwszego numeru z maja 1955 r. czytamy ambicjach wydawniczych redaktorów pisma: Pragniemy, aby nasze drukowane słowo przyspieszało proces wzrostu świadomości narodowej u Mazurów i Warmiaków. Z drugiej zaś strony chcemy pokazywać tym, którzy tu przybyli, bogatą w tradycje historyczne przeszłość naszego regionu. Uczyć wszystkich miłości do Ojczyzny. Tematyka czasopisma dotyczyła historii Warmii i Mazur oraz różnych aspektów ówczesnego życia kulturalnego regionu. Pierwszy numer czasopisma poświęcony został m.in. historiografii konfliktu polsko-krzyżackiego (Andrzej Wakar „Niektóre problemy pięćsetlecia”), V Konkursowi Chopinowskiemu (felieton pt. „Chopin – nieosiągalny” R. Koguckiego), eliminacjom powiatowym do ogólnopolskiego konkursu zespołów amatorskich (Maria Korolkiewicz „Tańczą i śpiewają...”), rozwoju kultury Warmii i Mazur (list z Warszawy Leszka Golińskiego pt. „O modzie i miłości”), spektaklowi olsztyńskiego Teatru im. S. Jaracza pt. „Intryga i miłość” Fryderyka Schillera (recenzja „Ambicje skuteczne” Mirosława Bańkowskiego). Oprócz publicystyki i artykułów historycznych, w dziale zatytułowanym „Z pracowni olsztyńskich plastyków” zamieszczano prace olsztyńskich artystów – rysunki, akwarele, karykatury, plakaty, medycjony i drzeworyty. Pojawiały się także felietony, recenzje, teksty sztuk teatralnych oraz wiersze lokalnych poetów: Michała Lengowskiego, Marii Zientary-Malewskiej, Teofila Ruczyńskiego, Alojzego Śliwy, Michała Kajki, Klemensa Oleksika oraz utwory autorów spoza regionu poświęcone Warmii i Mazurom, m.in. Romana Śliwonika, Jana Marii Gisgesa, Tadeusza Chróścielewskiego, Sławomira Kryski. Nierzadko publikowano fragmenty powieści i opowiadania. Autorzy artykułów wchodzili ze sobą w polemiki

i dyskusje, pojawiały się listy i nawiązania do tekstów kolegów po piórze. W rubryce „Notatnik kulturalny” zamieszczane były krótkie informacje na temat wydarzeń kulturalnych regionu. Ostatnia strona czasopisma zawierała fraszki, złote myśli, dowcipy oraz rysunki satyryczne.

Ważnym elementem pisma była warstwa ilustracyjna. Kilkadziesiąt lat temu kładziono duży nacisk na obecność rysunków i grafik lokalnych artystów, np. Zofii Hermanowicz, Marii Wachowskiej, czy też Hieronima Skurpskiego. Sztuki plastyczne w okresie PRL charakteryzował wysoki poziom artystyczny i rozkwit wielu talentów. Na łamach czasopisma pojawiały się często fotografie zabytków architektury, sztuki Warmii i Mazur oraz krajobrazów regionu. Częstym motywem były pejzaże okolicznych jezior. Czasopismo „Warmia i Mazury” poruszało również problemy czytelnictwa, co nie jest obecnie tak powszechne w czasopismach społeczno-kulturalnych. Pojawiały się głosy polemiczne bibliotekarzy nt. poczytności literatury współczesnej, rozwoju i badań aktywności czytelnicej oraz polityki wydawniczej. W artykułach analizowano „stopień rozczytania” mieszkańców miasteczek. Publikowano spisy dziesięciu najbardziej poczytnych książek, wśród których prym wiodły takie nazwiska jak: Szolochów, Sienkiewicz, Gorki, Polewoj czy Putrament. A skoro mowa o szacie graficznej czasopisma, to warto wspomnieć o autorze drugiej okładki periodyku przedstawiającej zespół taneczny z Morąga. Był nim fotografik i fotoreporter Wacław Kapusto. W 2025 roku obchodzimy okrągły jubileusz 100. rocznicy urodzin olsztyńskiego mistrza fotoreportażu.

Czasopismo „Warmia i Mazury” charakteryzowało się docieklivością materiałów, nie stroniąc przy tym od tematów niewygodnych i problematycznych. Lokalni pisarze i poeci znaleźli na jego łamach miejsce do prezentacji i popularyzacji swojej twórczości. Znaczącą rolę pisma było także szerzenie wiedzy o skomplikowanej i złożonej historii Warmii i Mazur. ■

IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Nevermore



Kruk – tłum. B. Beaupré, druk typograficzny, Iwona Bolińska-Walendzik, 2025

Nośnikiem naszych myśli jest język. Słowa zapisujemy umownymi znakami. Słowa potrafią zmieniać swoje znaczenie w zależności od czasu, miejsca i okoliczności.

Szósta edycja międzynarodowego projektu typograficznego PoeTry 2025 poświęcona była twórczości Edgara Allana Poe, z okazji 180. rocznicy wydania poematu „Kruk”. Tak, w tym poemacie pada słynne wypowiedziane przez kruka *nevermore*.

Przygotowując się do zrobienia plakatów, podeszłam do tego tematu jak do zadania naukowego. Przypomniałam sobie stwierdzenie, że najgorzej mają Anglicy, gdyż utwory Szekspira czytają w oryginale. Czyli języku angielskim sprzed ponad 400 lat. Inne nacje, między innymi i my Polacy, mamy możliwość stykania się z przekładami, które sprawiają, że język dramatów staje się współczesny, dogania teraźniejszość. Jak jest w przypadku „Kruka”? Nie jest to poemat aż tak stary jak dzieła Szekspira, ale istnieje co najmniej jedenaście jego tłumaczeń na język polski. Ciężko mi stwierdzić, czy został on uwspółcześniony. Nie jestem językoznawczynią.

Natomiast wzięłam pod lupę samą frazę *nevermore*.

Okazało się, że wyobraźnia tłumaczy jest olbrzymia. Na język polski utwór ten przełożyli między innymi: Zenon Przesmycki (Miriam), Stanisław Barańczak, Barbara Beaupré, Marian Polak-Chlabicz, Władysław Jerzy Kasiński, Jolanta Kozak, Maciej Froński, Marcin Ciura, Krzysztof Jaskuła.

Powtarzające się wielokrotnie w poemacie *nevermore* było oddawane przez tłumaczy jako „Nigdy już”, „Kres i krach”, „Nigdy więcej”, „Nevermore” (pozostawione bez tłumaczenia), „Próżny trud”, „Rojeń krach”, wreszcie „Nie! nig! dy! nig!”.

Do wykonania plakatów typograficznych wybrałam pięć tłumaczeń, zrealizowałam zaś cztery, które najbardziej zainspirowały mnie językowo. Wyobraźnia podpowiedziała mi konkretne rozwiązania, słowa układały się w kruka, pojawiały się też matryce – piórko, ręka kobieca, medalion, strzałka, wszystko nawiązywało do tekstu. Każdy inny artysta podeszłby do *nevermore* według własnego pomysłu. Ilość rozwiązań jest nieograniczona. Tak działa na nasz umysł dobra literatura. ■

matryca

matryca

matryca

matryca

matryca

matryca

